CENA 20 ZŁ

W numerze: Egon Naganowski — „Zwycięstwo pod Kopenhagą"

Odra tygodnik

NUMER 27 (136) KATOWICE — WROCŁAW — SZCZECIN — OLSZTYN, DNIA 4 LIPCA 1948 ROKU ROK IV

BIBLIOTEKA GŁÓWNEJ SZKOŁY HANDLU MORSKIEGO W GDYNI

EDMUND OSMAŃCZYK

Geografia polityczna Niemiec

I.

Jesienią 1947 roku ukazała się w księgarniach berlińskich pierwsza mapa Niemiec z granicami nakreślonymi w Poczdamie, bez zaznaczenia dawnych granic Rzeszy. Czterema kolorami uwidoczniono natomiast podział Niemiec na cztery strefy okupacyjne.

W r. 1920 zjazd kartografów niemieckich przyjął uchwałę, że dopóty, dopóki trwać będzie „haniebny traktat wersalski" żadna mapa Niemiec, czy Europy, wydana w Niemczech, nie może się ukazać bez zaznaczenia dawnych granic wilhelmowskiej Rzeszy. Była to uchwała nacjonalistyczna, mająca na celu przypominanie codzienne Niemcom konieczności rewizji granic. Uchwała ta wykonywana była skrupulatnie i za czasów Republiki Weimarskiej i za czasów hitlerowskich.

Po drugiej wojnie światowej kartografowie niemieccy bez żadnego zjazdu przyjęli z kolei niepisaną umowę, niewydawania żadnych map Niemiec bez zaznaczenia dawnych granic... wersalskich. Dalsze zaznaczanie starych granic Rzeszy Wilhelma, wydawcy powojenni uznali za niepotrzebne przypominanie przebrzmiałej dawno przeszłości.

Wydawca berliński, który w 30 miesięcy po wojnie zdecydował się złamać niepisaną umowę przypominania każdą mapą narodowi niemieckiemu minionych „dobrych granic wersalskich" w odróżnieniu od istniejących „złych granic poczdamskich", nie miał jednak odwagi napisania w tytule, że jest to mapa Niemiec. Postanowił więc dać napis bezosobowy: „Landkarte des Gebietes zwischen Rhein und Oder" (Mapa obszaru między Renem a Odrą).

Na mapie tej jednak nie dwie lecz trzy rzeki mają charakter graniczny. Dwie wymienione w tytule są bądź w pewnej części, granicami państwowymi. Jedna natomiast — Łaba — stanowi częściowo wewnętrzno - niemiecką granicę między okupantami Niemiec. Obszar „między Odrą a Renem" przedzielony jest rzeką Łabą, tak, że — upraszczając można powiedzieć, iż między Renem a Łabą jest przeszło 2/3 całego obszaru, a między Łabą a Odrą prawie jedna trzecia. Na zachód od Łaby od sierpnia 1945 roku rozdzielone są Niemcy na trzy okupacje brytyjską, amerykańską i francuską — ziemie zaś na wschód od Łaby aż po Odrę i Nysę Łużycką podporządkowane są jednej okupacji — sowieckiej. Historycznie ziemie między Renem a Łabą były kolebką Niemiec, ziemie zaś między Łabą a Odrą kolebką Prus. Pruska historia Niemiec zachodnich rozpoczęła się przed trzema wiekami, Niemiec wschodnich przed dziewięcioma. Ziemie zachodnie miały ludność z dawna osiadłą, stąd wielka tam ilość miast i miasteczek i duże zagęszczenie ludności. Ziemie między Łabą a Odrą, ongi zamieszkałe przez plemiona słowiańskie (z których ocalało tylko jedno nad Szprewą i Nysą Łużycką — tzw. Serbo-Łużyczanie), były obszarem kolonizacyjnym niemieckim, bazą wyjściową dla trwającego kilkaset lat „Drang nach Osten". Stąd mniejsza tu ilość niż na zachodzie wielkich miast i miasteczek i mniejsze zagęszczenie ludności, natomiast większa ilość olbrzymich majątków ziemskich, uprawianych do r. 1945 przez robotników sezonowych, sprowadzanych corocznie z przeludnionej Polski.

Ludnościowo niemieckie „parcie na wschód" trwało do połowy XIX wieku, politycznie natomiast do połowy wieku XX. Przyczyną zahamowania się ludnościowego „Drang nach Osten" był rozwój przemysłu i kopalnictwa w Niemczech zachodnich w drugiej połowie XIX wieku oraz rozwój Wielkiego Berlina. I przemysł zachodni i Berlin potrzebowały rąk do pracy i dawały korzystniejsze mieszkaniowe i kulturalne warunki, niż obcy słowiański wschód. Dla imperium niemieckiego ziemie wschodnie, położone między Odrą a Niemnem były jednak podstawą potęgi terytorialnej i żywnościowej. Ziemie te nosiły też nazwę „Kornkammer des Reiches" (spichlerz zbożowy Rzeszy). Dla utrzymania więc tam przewagi niemieckiej rządy Rzeszy Wilhelma, Republiki Weimarskiej i Rzeszy Hitlera prowadziły niezmienną politykę germanizowania żywiołu polskiego na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej. Kolonistom niemieckim przyznawano ulgi podatkowe oraz pomoc kredytową, znaną pod nazwą „Osthilfe".

Starania rządów niemieckich nie potrafiły powstrzymać jednak ucieczki Niemców ze wsi do miast, zjawiska znanego od czasów Bismarcka pod nazwą „Land flucht". Ponieważ większość miast przemysłowych niemieckich, położonych jest na zachód od Łaby, więc „Landflucht" zmienił się w „Drang nach Westen" i objął nie tylko ziemie nadodrzańskie i wschodniopruskie, lecz również ziemie połabskie. W ciągu ostatnich stu lat wzrosło na skutek tego nieproporcjonalnie zagęszczenie ludnościowe Niemiec zachodnich, natomiast nie wzrosło równomiernie zagęszczenie obszaru między Łabą a Odrą, to jest obecnych Niemiec wschodnich, nie mówiąc już o ziemiach między Odrą a Niemnem. Jedynym wyjątkiem jest stolica Prus Berlin, podniesiona przez Bismarcka do godności Stolicy Rzeszy, liczącej wówczas 820.000 mieszkańców, a w 70 lat później 4.300.000. Po drugiej wojnie światowej Berlin, liczący obecnie tylko 3.100.000 mieszkańców, na czas okupacji przestał być stolicą Rzeszy, stając się stolicą Sojuszniczej Rady Kontrolnej Niemiec. W strefie sowieckiej stanowi on międzynarodową wyspę, podzieloną na cztery sektory. Ruch między sektorami odbywa się bez ograniczeń, natomiast w promieniu 15 km od granic miasta wymagane są przepustki do przekroczenia granicy strefy sowieckiej. Podobne przepustki wymagane są na wszystkich punktach granicznych pozostałych trzech stref.

Uchwałami poczdamskimi Wielkiej Trójki w lipcu 1945 roku była Rzesza Hitlera przestała istnieć. Jako obszar życiowy, mający być podstawą przyszłej demokratycznej Republiki Niemieckiej, wyznaczono narodowi niemieckiemu ziemie położone „między Renem a Odrą", które podzielono z kolei na cztery strefy okupacyjne i okupowany przez cztery mocarstwa Berlin. Ziemie położone na zachód od Łaby, a więc ową najbardziej ludnościowo zagęszczoną i najbardziej uprzemysłowioną „kolebkę Niemiec" przyznano mocarstwom zachodnim, to jest Stanom Zjednoczonym (południowe Niemcy i wyłączony ze strefy brytyjskiej port w Bremie), Wielkiej Brytanii (zachodniopółnocne Niemcy z okręgiem przemysłowym Westfalii i węglowym Zagłębia Ruhry) oraz Francji (zachodnio - południową część Nadrenii i Zagłębie Saary). Ziemie zaś położone między Łabą a Odrą a więc ową najmniej ludnościowo zagęszczoną i najsłabiej uprzemysłowioną „kolebkę Prus", przyznano Związkowi Radzieckiemu, włączając do strefy tej również Saksonię i Turyngię, dwa kraje niemieckie bardziej uprzemysłowione, i dzięki temu o większym zagęszczeniu ludności.

Mimo podziału okupacyjnego powojennych Niemiec znaczenie Berlina, wydzielonego ze strefowej okupacji, nie upadło. Skupienie na małym obszarze szeregu urzędów oraz załóg wojskowych czterech mocarstw, stworzenie z Berlina siedziby Rady Kontrolnej oraz siedziby akredytowanych przy Radzie kilkudziesięciu Misji Wojskowych prawie wszystkich narodów zjednoczonych, powiązanie wreszcie Berlina liniami lotniczymi, kolejowymi, telefonicznymi i radiowymi z całym światem, to wszystko uczyniło z Berlina najbardziej interesujący punkt polityczny Europy. W miarę narastania rozdźwięków między okupantami zachodnimi a Zw. Radzieckim, Berlin stał się też terenem rozgrywek międzynarodowych o światowym znaczeniu, a w roku 1947 stał się również bazą wypadową propagandy anglosaskiej na strefę sowiecką, propagandy na pozór wyłącznie antykomunistycznej, w rzeczywistości dość często wyraźnie antysowieckiej, a nawet ogólnie antysłowiańskiej. Nieodłączne skupieniu wielu narodowości w jednym mieście, cienie współżycia obcych sobie ludzi zyskały również Berlinowi mało pochlebny przydomek „europejskiego Szanghaju".

W najgrubszym więc rzucie mapa polityczna powojennych Niemiec obejmuje „obszar między Renem a Odrą", który rzeka Łaba dzieli na historyczne Niemcy Zachodnie i Wschodnie. Ten podział historyczny został w głównych zarysach utrzymany w statucie okupacyjnym, którym Niemcy Wschodnie oddane zostały pod okupację Związku Radzieckiego, Niemcy zaś Zachodnie trzem zachodnim mocarstwom. Stolicą polityczną okupantów została dawna stolica Prus i Rzeszy, położony między Łabą a Odrą, Berlin, który nadal jest czynnikiem jedności Niemiec i zarazem atutem Niemiec Wschodnich w walce o tę jedność.

O politycznym obrazie Niemiec okupowanych i Niemiec przyszłych decyduje polityka mocarstw oraz polityka partii niemieckich.

II.

Politykę mocarstw światowych w stosunku do Niemiec w ciągu ostatnich lat 75 obrazują następujące liczby:

540.000 km kw obejmował obszar Rzeszy Niemieckiej po Wersalu 1871 roku.

470.000 km kw obejmował obszar Republiki Weimarskiej po Wersalu 1919 roku.

583.000 km kw obejmował obszar Trzeciej Rzeszy po Monachium 1938 r.

356.000 km kw obejmuje obszar Niemiec okupowanych po Poczdamie 1945 roku.

Wersal Bismarckowski uznany został przez Rosję Carską, Wielką Brytanię i Monarchię Habsburską.

Wersal Aliancki uchwalony został przez Stany Zjednoczone, W. Brytanię, Francję, Włochy i Japonię.

Monachium Hitlerowskie uznane zostało przez Francję, Wielką Brytanię i Włochy.

Poczdam Aliancki uchwalony został przez Stany Zjednoczone, Związek Radziecki i Wielką Brytanię.

Z mocarstw światowych ustalających obraz polityczny Europy w ciągu ostatnich 75 lat, straciły swe znaczenie kolejno: — Rosja Carska, Monarchia Habsburska, Włochy, Niemcy, Japonia i Francja. Ta ostatnia, wziąwszy udział w Monachium nie wzięła już udziału w Poczdamie. Powołanie Francji do okupacji Niemiec było gestem politycznym Wielkiej Trójki, nie wynikającym z siły politycznej Francji, lecz z układu sił międzynarodowych. Jedynym mocarstwem, które od 1871 roku (i wcześniej) współdecydowało niezmiernie o roli Niemiec w Europie, jest Wielka Brytania (dwa Wersale, Monachium i Poczdam). Miejsce pozostałych byłych mocarstw zajęły Stany Zjednoczone i Związek Radziecki, dwa kontynentalne kraje, mające obecnie największy wpływ na rozwój przyszłych Niemiec.

W Niemczech okupowanych prymat Związku Radzieckiego i Stanów Zjednoczonych jest wyraźnie widoczny. Stany Zjednoczone rozszerzyły swój wpływ na całe Niemcy Zachodnie (a więc i na strefy brytyjską i francuską), a poprzez Berlin starają się propagandowo docierać i do strefy sowieckiej, ZSRR zaś drogą radykalnych reform umocniło swą pozycję w Niemczech Wschodnich i stara się hasłem jedności Niemiec i zakończenia okupacji rozszerzyć swe wpływy również na Niemcy Zachodnie.

Zepchnięcie przez politykę amerykańską w Niemczech, Francji, ongi najpotężniejszego sąsiada Niemiec, z roli mocarstwowej do roli dokuczliwego, lecz nieszkodliwego współudziałowca korzyści zwycięstwa, nie było rzeczą trudną. Daleko trudniej natomiast przyszło Amerykanom osłabienie w Niemczech pozycji mocarstwowej Wielkiej Brytanii, dla której podziw narodu niemieckiego wzrastał od czasów Królowej Wiktorii z każdą przegraną przez Niemcy wojną.

Jednym z korzystnych dla Amerykanów w tym względzie czynników stał się geograficzny podział Niemiec. Anglicy otrzymali bowiem pod okupację najbardziej zniszczoną część Niemiec, przy czym gospodarczo najważniejszą (zachodni okręg przemysłowy i węglowy), a politycznie najtrudniejszą (najwyższe w Niemczech zagęszczenie ludności i największe dysproporcje socjalne). Przysłowiowa powolność Brytyjczyków w rozwiązywaniu problemów społeczno - gospodarczych przyczyniła się do spadku podziwu niemieckiego dla Anglii, tym więcej, że szlachetne współczucie dla biedy niemieckiej, głoszone przez Radio Londyńskie i prasę angielską, nie wpływało na wzrost przydziałów żywnościowych dla głodującej strefy brytyjskiej.

Amerykanie, sąsiadujący ze strefą brytyjską, potrafili po mistrzowsku wykazać Niemcom tam tejszym wartości swojego sposobu okupowania „krajów" niemieckich oraz przekonać Anglików do korzyści gospodarczej jedności obu stref, którą stworzono w roku 1947 z ośrodkiem dyspozycyjnym w Frankfurcie nad Menem, stolicy okupacji amerykańskiej.

Był to zarazem rok rozpoczęcia przez Amerykę „zimnej wojny" ideologicznej z komunizmem, a mowiąc ściśle ze Związkiem Radzieckim. Rozpowszechnione i wśród Niemców hasło podziału świata na „Wschód" i „Zachód" stało się w Niemczech dzięki propagandzie amerykańskiej („bez rękawiczek" — jak oświadczył gen. Clay) właściwie nieustannym określaniem się Niemców bądź po stronie Stanów Zjednoczonych bądź po stronie Związku Radzieckiego. W ten sposób Wielka Brytania, nie mówiąc już o Francji, w oczach Niemców stała się mało ważną częścią pojęcia „Zachodu", które przesunęło się w wyobraźni politycznej niemieckiej aż za ocean.

Plan Marshalla był ostatnim ciosem w podstawę znaczenia mocarstwowego Anglii w narodzie niemieckim. Wielka Brytania, znów nie mówiąc o Francji, została zrównana z Niemcami, jako kraj potrzebujący **amerykańskiej** pomocy. W ten sposób niemieckie pojęcie mocarstwowości zwęziło się w strefach zachodnich wyłącznie do Stanów Zjednoczonych, mających kontrpartnera tylko w strefie wschodniej Niemiec — w Związku Radzieckim.

Psychologiczne znaczenie takiej przemiany w wyobraźni większości narodu niemieckiego ocenić można, obserwując rozwój ugrupowań politycznych w Niemczech Zachodnich po drugiej wojnie światowej. Uderzający jest coraz butniejszy „europejski" ton wypowiedzi niemieckich. Skoro w Europie Zachodniej nie ma żadnego mocarstwa, wokół którego mogłaby się jednoczyć Europa, zatem jest to najjaskrawszy dowód błędu Aliantów — niszczenia silnych Niemiec, które mimo swoich daleko większych błędów, zawsze jednoczyły gospodarczo Europę a politycznie stanowiły zaporę dla wpływów dawniej rosyjskich, obecnie komunistycznych w Europie.

Nadzieje niemieckie na odegranie roli przedmurza Europy, a tym samym odzyskania utraconego przez Hitlera znaczenia Niemiec w świecie, podtrzymywane są świadomie przez politykę amerykańską. Prasa i radio niemieckie przynosi zbyt często bardzo dla Niemców miłe wypowiedzi amerykańskie w rodzaju tej, którą 12 stycznia 1948 roku podała agencja Dena (Deutsche Nachrichten Agentur — Frankfurt nad Menem):

„Kenneth C. Royall, sekretarz stanu dla spraw wojskowych w przemówieniu, wygłoszonym w Denver, zażądał stworzenia silnego niemieckiego rządu, jako zapory przeciwko grożącej w Niemczech politycznej agresji, i jako tamy przeciwko totalizmowi. — Royall oświadczył, że istnieją alarmujące oznaki ostrego politycznego konfliktu w Europie. Amerykańska armia okupacyjna jest w całej pełni świadoma wzrastającej coraz bardziej potrzeby silnych Niemiec".

Francja z uporem nawraca stale do koncepcji Richelieu'ego osłabienia Niemiec przez federacyjne rozczłonkowanie b. Rzeszy na luźno związane z sobą kraje. Wielka Brytania tradycyjnie dąży do wytworzenia równowagi sił przez powiązanie Niemiec Zachodnich z Europą Zachodnią. Stany Zjedno-

(Dokończenie na stronie 2)

TADEUSZ ZELENAY

Pochwała Wrocławia

Ostrzami wież i anten... Melancholio moja
Jakżeż tu zacząć, gdy pióro zawistne
Hamulcem wspomnień jest i niepokojów
I powstrzymuje lot skłębionych myśli
Choć myśl jak żagiel lotny się napina.
Myśl, serce, ręka, jeszcze raz zaczynam.

A więc. Ostrzami anten i wież, które często
Rdze koralowych pożarów przeżarły
Znacząc trud gorzki i żmudne zwycięstwo,
Tryumf żyjących i chwałę umarłych.
Tymi ostrzami w niebo miasto wbite
Jest dziś pogodą naszą i błękitem.

I nie dlatego błękitem jest miasto
Że nad dachami niebo się nachyla
Ani dlatego, że cieniami Piastów
Syci się dziejów jego każda chwila
Ale dlatego, że każdym załomem
Murów swych, naszym jest sercem i domem.

Idź w ślad uliczek co portalom starym
Drogę spojrzenia kieruje i przelot.
Szumiące drzewa są niby sztandary
Co się słów polskich melodiami dzielą
Z piosenki echem, z robotników śpiewem,
Z gwarem przechodniów. Znaczy — polskie drzewa.

A są w tym gwarze odmiany subtelne.
Odcienie barwne. Lokalne akcenty,
Niby win smaki i miodów weselnych
Lub barw niuanse, albo elementy
Słodkich, stężałych, nieco przaśnych woni.
Zapachy jabłek nie z jednej jabłoni.

O straganiarek warszawskich świegoty,
Których nie strawi żadnej wojny płomień.
Głos wasz co serce wyzwala z tęsknoty
W niejednym murów odnajdę załomie.
W wieczór majowy przez Zalesie, Krzyki
Srebrny głos sieją warszawskie słowiki.

Sądzę, że każdy przyniósł tu wraz z mową
Jakiś ułomek rodzinnego miasta,
Miasteczka, wioski, które naszym słowom
Każą w piastowski gotyk twardo wrastać
Że każde słowo stanie jak kolumna
Niepokonana, prosta, jasna dumna.

I dziś nam dobrze, gdy na przekór szałom
I nienawiści niewygasłej krzykom
Wsparci muzyką naszych słów o załom
Murów przetkanych melodią słowików
Niesiemy jasne zarzewie pogody
Wytrwałość naszą, wiarę, ufność, młodość.

Tu zauważam że „słowiki", „załom"
i „krzyki" nadto często łączę w rymy,
Co poetyckim jest wbrew ideałom.
Bo rym być musi jak ulotne dymy
Lub jak obłoki co przetrwawszy chwilę
Zginą w słów barwnej mgławicy i pyle.

Zginą. Dlatego nie powtórzę więcej
I już nie wpadnę w manier dygresyjnych
Mdłe uwiklanie.. Chwalić chcę goręcej
Mocniej, serdeczniej, bez melancholijnych
Rozrzewnień miasto, kędy po ruinie
Słońce się smuży, cień obłoków płynie.

O miasto ruin, bzów, marzeń, melodii
Gdzie w murów wnękach tkwią kamienne świątki.
Gdzie w śpiewie fabryk, w rozgwarze przechodniów
Znajduję Polskę, a w polskich pamiątkach
Nurt historycznych klechd i opowieści,
Zamarłych wspomnień i wciąż żywej treści.

O rumowiska zbrunatniałej cegły,
Z której powstaną nowe, mocne domy!
Pogorzeliska i cienie poległych,
Gotyków widma, baroków ogromy,
Księżyc i jaśmin, rzecznej fali białość,
Dzwonienie dzwonów, odbudowy śmiałość!

I te tramwaje. Tramwaj cię przenosi
Z każdą minutą w nastroje odmienne.
Poprzez zaułki, poprzez parki w rosie,
Gdzieś nad zieleńce, na placyki senne,
Aż niby rumak przystanie nad rzeką,
Blisko kościołów i drzew niedaleko.

I tym mój pean pochwalny zakończę
Na przekór wszystkim księżycom i majom,
Na przekór gwiazdom, kwiatom, chmurom, Łączę
Pochwałę ludziom z pochwałą tramwajom
I chwalę domy co się wzniosą w górę
Rosnąc na kościach piastowskich i murach.

Z kości prawiecznych, z kości tych co padli
W niedawnej walce, wapienną zaprawą
Łączymy cegłę, by wszyscy odgadli
Związek Wrocławia wiecie z czym? — Z Warszawą.
Miasta zburzone, miasta krwią zbryzgane
Obydwa polskie, obydwa kochane.

Parada w brązie

Parada w brązie. Poeci, królowie, żołnierze, wynalazcy zgromadzeni na placu hamburskim. Większość tych pomników, które miały być przelane na armaty, wróci do swoich miejsc przeznaczenia. Tu odnaleziono krakowski pomnik Mickiewicza

Nowe odrodzenie narodowe

„Podniosłe to przecież uczucie wiedzieć, iż dzisiaj można znowu być już do tego stopnia nacjonalistą, że już znowu jest demokratycznie." Rys. Rudolf Schlichter

Geografia polityczna Niemiec

(Dokończenie ze strony 1)

czone natomiast podtrzymują wśród Niemców mit o odbudowie „silnych Niemiec", z którymi powiązana ma być Europa Zachodnia, również odbudowana kredytami amerykańskimi.

Nic dziwnego więc, że w ciągu trzech lat okupacji Niemiec polityka amerykańska osiągnęła w Niemczech zachodnich zdecydowaną przewagę nad polityką angielską i francuską. Stworzenie Bizonii (jedności gospodarczo-politycznej stref amerykańskiej i brytyjskiej) było pierwszym krokiem na drodze umacniania tej przewagi. Zapowiedziane na jesień 1948 stworzenie Trizonii (Bizonia plus strefa francuska) ma być ostatecznym przypieczętowaniem hegemonii amerykańskiej w Niemczech Zachodnich, obejmujących obszar o powierzchni 248 tys. km kw i 48 milionach ludności.

III.

Spośród mocarstw, podpisujących umowę poczdamską w lipcu 1945 roku, tylko Związek Radziecki znał z doświadczenia okupację niemiecką. Stany Zjednoczone wyszły z wojny nawet nie bombardowane przez Niemców. Wielka Brytania, choć bombardowana, przekonała się raz jeszcze o korzyściach swego wyspiarskiego kraju. Zagadnienie bezpieczeństwa dla Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, w odniesieniu do Niemiec, sprowadzało się na podstawie doświadczeń obu światowych wojen niemieckich, do zniszczenia Niemiec flot morskich i lotniczych. Uczyniono to natychmiast po wojnie, ze skrupulatnością i szybkością zdumiewającą. Zatopiono okręty i łodzie podwodne niemieckie, wysadzono w powietrze stocznie, zmniejszono ilość statków handlowych i łodzi rybackich. Tym samym bezpieczeństwo Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych ze strony Niemiec zostało na długie lata zapewnione. Zmiany terytorialne Niemiec nie były ani dla Zjednoczonego Królestwa, ani dla USA konieczne. Zgoda na zmiany te wynika z sytuacji międzynarodowej a nie z zasadniczego stosunku do Niemiec. Fakt ten podkreśla często propaganda amerykańska w Niemczech, stwierdzając, że oba anglosaskie mocarstwa nie walczyły o żadne terytorialne korzyści dla siebie i — odwrotnie, niż Związek Radziecki — żadnych korzyści terytorialnych z pobicia Niemiec nie mają i nie żądają. Anglosasi, dzięki geograficznie szczęśliwszemu położeniu swych państw, mieli i mają niewątpliwie daleko łatwiejszą pozycję w ubezpieczaniu się przed nową agresją niemiecką i w zapewnieniu sobie wpływów w powojennych Niemczech. Niestety, doświadczenie uczy, że to co nie zagraża w Niemczech nawet pośrednio Ameryce, może zagrażać bezpośrednio sąsiadom Niemiec, a z kolei i dalszym krajom kontynentu europejskiego.

Doświadczenie to przeszedł w ostatniej wojnie Związek Radziecki, dla którego floty morskie i powietrzne Niemiec stanowiły zaledwie mały procent zasadniczych współczynników niebezpieczeństwa niemieckiego. Źle sklecona w Wersalu bariera polska między Niemcami a ZSRR pękła w roku 1939, olbrzymia zmotoryzowana armia niemiecka uderzyła dwa lata później na Związek Radziecki, sfanatyzowany hitleryzmem naród niemiecki ruszył na wschód, który miał się stać aż po Ural na następne 1000 lat historii ziemią niemiecką. Dla zrozumienia dzisiejszych Niemiec jest rzeczą ważną przypomnienie, iż Niemcy w stosunku do Zachodu nie mieli zasadniczo pretensji terytorialnych (za wyjątkiem Alzacji i Lotaryngii), natomiast nieograniczone żądania terytorialne mieli na Wschodzie. Z procesu norymberskiego wiemy również, jak bardzo był przez Niemców przestrzegany stopień barbarzyństwa na Zachodzie i na Wschodzie Europy. W Zachodniej i Północnej Europie Hitler poprzez Petainów i Quislingów szukał porozumienia z podbitymi narodami, na Wschodzie natomiast rządziło wyłącznie pruskie prawo mordu „mniej wartościowych ludzi"..

Związek Radziecki, kończąc zwycięsko wojnę, po dramatycznym Stalingradzkim okresie, stanął podobnie jak Anglosasi przed dwoma zagadnieniami: — zlikwidowania niebezpieczeństwa niemieckiego i zapewnienia sobie w przyszłości przyjaznych stosunków z Niemcami. Historia bowiem uczy, że przeciwnik, któremu wytrąciło się broń z ręki, lecz się go nie pozyskało do współpracy, pozostaje wrogiem, czekającym na okazję zerwania pokoju. Historia mało zarazem daje przykładów mądrego osłabienia i jednoczesnego pozyskania przeciwnika.

Związek Radziecki zdecydował się jednak na ten rzadki w historii eksperyment, postanowiwszy w krótkim czasie radykalnie zlikwidować zewnętrzne niebezpieczeństwo niemieckie, po czym w obliczonej na długie lata współpracy z narodem niemieckim przełamać jego wewnętrzną wrogość do narodów słowiańskich, zagrażającą pokojowi Europy.

Zlikwidowanie niebezpieczeństwa niemieckiego oznaczało dla ZSRR daleko więcej, niż zniszczenie niemieckiej armii i floty. Należało Niemcy przede wszystkim terytorialnie zepchnąć z ziem słowiańskich, będących od wieków pruską bazą wypadową na wschód. Z ogłoszonych w roku 1947 dokumentów (wykorzystywanych obecnie w Niemczech przez amerykańską propagandę) wynika jasno, że w Jałcie i Poczdamie strona sowiecka była spiritus movens granicy Odra — Nysa oraz przesiedlenia wszystkich mniejszości niemieckich w Europie do Niemiec. Było to świadome likwidowanie Prus i pruskiej V kolumny. Zgoda w Poczdamie Trzech Mocarstw, jak wiemy, była ostatnią zgodą Wielkiej Trójki na radykalne przygotowanie przemiany zaborczych Niemiec w demokratyczne Niemcy. Od Poczdamu polityka mocarstw w sprawie Niemiec zaczęła się rozchodzić, w konsekwencji po blisko trzech latach okupacji, doprowadzając do nieformalnego wciąż jeszcze, lecz faktycznie istniejącego już podziału Niemiec na Niemcy Wschodnie i Zachodnie.

Związek Radziecki nie poprzestał na zmianach terytorialnych b. Rzeszy. Drugim czynnikiem likwidacji niebezpieczeństwa niemieckiego był demontaż fabryk zbrojeniowych, trzecim wreszcie reformy socjalne, mianowicie reforma rolna i nacjonalizacja przemysłu, pozbawiające warstwy junkiersko - przemysłowe znaczenia gospodarczego, a tym samym i politycznego. Ponieważ jednoczesne radykalne przeprowadzenie demontażu i reform socjalnych w całej Rzeszy napotkało na opór Anglosasów, Związek Radziecki przeprowadził to w pełni tylko w swojej strefie.

W ciągu pierwszych dwu powojennych lat Związek Radziecki na obszarze przez siebie okupowanym zakończył proces likwidacji zewnętrznego niebezpieczeństwa niemieckiego, wyprzedzając w tym względzie trzy pozostałe strefy zachodnie. ZSRR w wykonaniu uchwał poczdamskich przekazał w tym samym czasie władzę nad ziemiami położonymi na wschód od Odry i Łużyckiej Nysy Rzeczypospolitej Polskiej. — Uchwalona formalnie na konferencji czterech ministrów spraw zagranicznych w Moskwie w kwietniu 1947 roku likwidacja Prus zbiegła się z faktyczną likwidacją pruskiego niebezpieczeństwa w „kolebce Prus", czyli na ziemiach między Łabą a Odrą oraz na ziemiach dawnego zaboru pruskiego na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej.

Władze sowieckie w Niemczech przejść więc mogły z kolei do drugiej części swego historycznego eksperymentu, do długofalowej pracy nad przełamaniem wewnętrznej wrogości Niemców do narodów słowiańskich, do pozyskiwania Niemców dla trwałej pokojowej współpracy.

Zadanie to jest niezwykle trudne, właśnie dlatego, że następuje po cięciu Odra — Nysa, po demontażu i po radykalnych reformach społecznych. Nie tają prawdy tej przedstawiciele SMA (Sowieckiej Militarnej Administracji), lecz równocześnie twierdzą, że mają dość czasu, wytrwałości i siły ideowej, by zadaniu temu podołać.

Niemniej w ocenie obecnych Niemiec ważne jest zrozumienie, że Związek Radziecki, tracąc dwa lata na likwidację Prus, zdecydował się tym samym na nierówny start w wyścigu politycznym z Anglosasami o nowe Niemcy. Przy czym start Amerykanów był nie tylko wcześniejszy, lecz również łatwiejszy, pozbawiony jakichkolwiek obciążeń. Amerykanie nie zmuszali Niemców do reform, nie kwapili się z demontażem, odżegnali się od roszczeń terytorialnych, zwalając całkowitą winę za „amputację Rzeszy" na ZSRR, swojej armii okupacyjnej nie utrzymują na koszt kraju okupowanego, lecz sprowadzają dla niej żywność z Ameryki, na koniec wreszcie potrafili się Amerykanie wyróżnić spośród wszystkich okupantów akcją charytatywną milionów paczek żywnościowych i obietnicą miliardowych kredytów dolarowych w ramach „Planu Marshalla". Zrozumiałe więc jest, że w roku 1948 Ameryka wyprzedziła znacznie Sowiety w pozyskiwaniu Niemców dla swych koncepcji politycznych. Czy to wyprzedzenie będzie trwałe, pokaże przyszłość.

Wydaje się jednak już dziś, że mimo nierównego startu szanse obu mocarstw w Niemczech są równe. Niemcy, mimo podziału stanowią jedność gospodarczą, polityczną i narodową. Przemiany spowodowane przez Sowiety w Niemczech Wschodnich i skutki likwidacji Prus będą miały wpływ zasadniczy również na Niemcy Zachodnie. Również nie bez znaczenia jest fakt, że ZSRR występuje z hasłem jedności Niemiec i zakończenia okupacji, gdy mocarstwa zachodnie prowadzą politykę Zachodn. Niemiec. Dodajmy na koniec, że wbrew ogólnemu przekonaniu nasilenie walk ideologicznych jest dotąd w Niemczech małe. Naród niemiecki dopiero bardzo powoli uwalnia się z niewoli pojęć nacjonalistycznych, i z trudem stara się zrozumieć różnorodne idee, podawane mu przez nowe partie niemieckie. W miarę upływu lat zwiększać się będą kadry przeszkolonych partyjnie Niemców, dokonywających wyboru między mocarstwami bardziej świadomie, aniżeli to ma miejsce obecnie. Walka ideologiczna rozgorzeje w miarę rozszerzania się ideologii nowych partii w masach niemieckich, dotychczas albo hitlerowskich, albo biernych. W konflikcie politycznym i ideologicznym dwu wielkich mocarstw w Niemczech zadecydują ostatecznie partie niemieckie, od których dynamiki ideologicznej zależy ich siła polityczna. Polityka mocarstw stara się wytyczyć kierunek Nowym Niemcom. Wyboru dokonają jednak ostatecznie sami Niemcy za lat trzy, czy pięć, kiedy okupacja Niemiec przejdzie do historii.

Edmund Osmańczyk.

AUGUST KARDYNAŁ HLOND

Prawo do Zachodu

Nie dajcie się wprowadzić w błąd i nie dopuszczajcie do duszy rozterki, jakoby Kościół mógł mieć zastrzeżenia co do polskiej przyszłości Ziem Odzyskanych. Nie ma bowiem racyj, dla których Kościół miałby pragnąć uszczuplenia Rzeczypospolitej. Bezpodstawne są twierdzenia, jak gdyby Kościół popierał myśl rewizji granic Państwa Polskiego. Jest intencją Kościoła, by traktaty pokojowe nie pomniejszały Polski, by uwzględniły jej prawa do bytu niepodległego, by poręczyły jej bezpieczeństwo, a za okrutne krzywdy przyznały jej słuszne odszkodowanie.

Ojciec św. Pius XII, mimo pozorów i wykładni, pragnie Polski politycznie, kulturalnie i moralnie wielmożnej. Nie myśli o umniejszaniu państwa polskiego, a chętnie przyczyniłby mu potęgi, szczęścia i pomyślności.

Więc jeżeli chodzi o Papieża i o Kościół, bądźcie spokojni o swe zagrody, o wkład swej pracy. Bądźcie spokojni o polskich księży i o polskie nabożeństwa. Bądźcie spokojni o polskie jutro swych sadyb i warsztatów.

W ... liście do Episkopatu Polski (z 17 stycznia 1946 roku) Ojciec św. wyraża m. innymi współczucie właśnie Wam, którzy opuściwszy swe ojcowizny, w bardzo trudnych warunkach budujecie nowe życie polskie na Ziemiach Odzyskanych. Ojciec św. rozumie Waszą życiową ofiarę oraz wielkość waszych nowych zadań i dlatego poleca Was gorąco szczególniejszej opiece Biskupów. Oto jego słowa:

> „Ze wschodnich ziem Polski płyną ku zachodnim kresom tłumy ludzi, dotkniętych nieraz ciężkim losem, bolejących nad opuszczonym mieniem zasługujących na to, by im rodacy w nieoczekiwanym położeniu okazali szybką i współczującą pomoc. Czynem i słowem sprawcie to, Ukochany Synu Nasz (Prymas Polski) i Czcigodni Bracia (Biskupi), by im ani z waszej strony ani od kapłanów i wiernych nie brakło pomocy przewidującego i czynnego miłosierdzia. Roztoczcie nad nimi wszelką opiekę duchową, aby pociechy wiary i nadziei chrześcijańskiej krzepiły ich i umacniały".

Troskę o przesiedleńców na Ziemiach Odzyskanych wyraża Papież raz jeszcze w liście z 18 stycznia rb., odzywając się w te słowa:

> „Zanim zakończymy ten list, z głębi serca wyrażamy Wam uznanie i wdzięczność za to, coście wspólnie uczynili by zaradzić także potrzebom religijnym i społecznym ludności obrządków wschodnich, która w trudnych warunkach osiedla się na nowych sadybach. Jest to wymowny wyraz miłości. Kapłani, którzy tym braciom przychodzą z pomocą, niechaj będą pewni, że zgotowali sobie szczytny wieniec zasług u Ojca, który zna tajniki ich serc".

Z tych słów papieskich z ostatniego trzechlecia wynika niedwuznacznie, że Ojciec św. ma dla Polski ojcowskie serce i pełne zrozumienie zarówno jej cierpień jak i jej praw. Wypowiedzi Ojca św. są jasne. Nie są ani mniej ciepłe, ani mniej życzliwe niż te, którymi Papież, jako Ojciec wszystkich ras i ludów, przemawia do katolików innych narodowości.

Stwierdzam dalej, że ani w intencjach papieskich, ani w nauce katolickiej nie zawiera się nic, co by mogło stanowić zagrożenie sprawy polskiej. Przeciwnie. Mamy bronić praw i dobra Rzeczypospolitej także z obowiązku sumienia chrześcijańskiego. Jest naszą chrześcijańską powinnością zabezpieczać kraj przed powtórzeniem się katastrofy ostatnich lat. Ze względu na nędzę, w którą napad hitlerowski pogrążył Polskę, mamy niezaprzeczone prawo domagać się odszkodowań.

Jest dalej rzeczą oczywistą, że po powtórnym najeździe, którego padliśmy ofiarą, po nieprawdopodobnych stratach i cierpieniach eksterminacyjnej okupacji, po bezgranicznych krzywdach materialnych i moralnych, po najbardziej bohaterskiej obronie niepodległości, jaką dzieje notują, po heroicznym, choć niedocenionym dochowaniu przez nas wierności orężnej zwycięskim sojusznikom — Polska nie może być skazana na to, by przy nowym urządzeniu Europy ona miała płacić losem swych obywateli i bezpieczeństwem swych granic za następstwa obcych zbrodni.

Z naszej strony chcemy szczerze, wedle zasad chrześcijańskiej etyki życia międzynarodowego, żyć z wszystkimi w zgodzie i ludzkim braterstwie. Chcemy dobrych i na wzajemnym zaufaniu opartych stosunków z sąsiadami. Przebaczaliśmy wiele, bardzo wiele. I dziś jeszcze raz przebaczamy wszystko. Wyrzekamy się nienawiści. Nie szukamy zemsty. Pragniemy być aktywnym czynnikiem ładu międzynarodowego, zbliżenia i współpracy całej ludzkości. Ale oczekujemy, że budowniczy nowego świata ocenią należycie i uwzględnią naszą dobrą wolę, prawa narodu polskiego i jego nie tylko krwawy, lecz i moralny wkład w zwycięstwo nad przemocą.

Kochani rodacy na Ziemiach Odzyskanych! Złóżcie z serca niepokoje. Wyleczcie swe dusze z bólu. Krzepcie się wiarą, że nie na darmo potem swego życiowego trudu użyźniacie odłogi i puszczacie w ruch zakłady przemysłowe.

... Ze Stolicy, która ofiarą całopalenia dała świadectwo prawom Narodu do niepodległego bytu i do swobodnego wyznawania Wiary pokoleń, ślę Wam wszystkim autochtonom i osiedleńcom, rzewne braterskie pozdrowienie i prymasowskie błogosławieństwo.

AUGUST KARDYNAŁ HLOND.

Kapłani wojskowi wobec Papieża

Księża kapelani Wojska Polskiego i Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, zebrani na odprawie w Agnieszkowie za Jelenią Górą, uchwalili i podpisali rezolucję w sprawie Ziem Zachodnich — w związku ze znanym listem Papieża Piusa XII do biskupów niemieckich.

Rezolucja, utrzymana w tonie bardzo poważnym, podkreśla dobitnie nasze prawa historyczne do Ziem Zachodnich, ich znaczenie gospodarcze i polityczne i t. d.

Rezolucja wspomniana została przekazana — w drodze służbowej — Ministrowi Obrony Narodowej, Marszałkowi Polski, Michałowi Żymierskiemu: przez Generalnego Dziekana W. P. — *(F.)*

EGON NAGANOWSKI

Zwycięstwo

Powrót Niemców do międzynarodowej rodziny PEN-Clubów odbył się łatwo i bezboleśnie. Trochę może zbyt łatwo i zbyt bezboleśnie, jak na fakty, na które pozwoliłem sobie zwrócić uwagę niedawno temu w „Odrze" (nr 16, „Powroty" ... b. hitlerowców do życia literackiego Niemiec) i ostatnio w „Nowinach Literackich" (nr 24, „Dzieje niemieckiego PEN-Clubu"). Nie chcę przez to powiedzieć, że decyzja kongresu w Kopenhadze jest niesłuszna. Bynajmniej. Ostatecznie nie podobna zamknąć Niemców na stałe w jakimś kulturalnym getcie. Nie byłoby to możliwe, ani wskazane, jeżeli mają oni zatracić wiele ujemnych cech typowo niemieckich, a nabyć wzajem wiele cech ogólnoeuropejskich, lepiej powiedziawszy ogólnoludzkich. Niemniej — jak zaznaczyłem — sposób przyjęcia z powrotem synów marnotrawnych był mimo wszystko rażący. Dość powiedzieć, że duńskie pismo „Berlingske Tidende" z 4. 6. br. opatrzyło swe sprawozdanie z obrad kongresu tytułem: „Podniosła demonstracja po przyjęciu rezolucji o reaktywowaniu grupy niemieckiej" i że w prasie niemieckiej mówi się o „największym międzynarodowym sukcesie demokratycznych Niemiec od chwili zakończenia wojny." Ale idźmy po porządku. Niemieckie zwycięstwo w Kopenhadze jest prawie równie ciekawe, jak zeszłoroczna „bitwa pod Zurychem".

W XX z kolei a trzecim po wojnie kongresie PEN-Clubów wzięło udział przeszło 300 pisarzy, reprezentujących 26 narodów. Z Niemiec, wbrew przewidywaniom (i wbrew gorszącym berlińskim sporom — p. „Nowiny Literackie") przyjechał jeden jedyny Johannes R. Becher. Zaraz z początku stało się jasne — czemu dał też wyraz w powitalnym przemówieniu Kai Friis Möller, przewodniczący sekcji duńskiej — że większość zebranych była zdecydowana omijać wszelkie drażliwe tematy natury politycznej. Postanowiono zająć się, wyjąwszy zagadnienie niemieckiego PEN-Clubu, wyłącznie problemami literackimi. Najciekawsza dyskusja rozwinęła się bodajże na temat współczesnej prozy, przy czym szczególnie interesujące przemówienia wygłosili: Francuz Jean Schlumberger, Anglik R. Hughes i Francuz prof. Denis Saurat. Ten ostatni wywołał silną opozycję wśród szeregu słuchaczy osobliwym stwierdzeniem, że tylko angielski i francuski należy uważać za języki naprawdę cywilizowane i wysoko rozwinięte. Na konieczność wartościowania prozy na podstawie kryteriów moralnych, a nie wyłącznie formalnych, zwrócili uwagę Jarosław Iwaszkiewicz i Austriak Fr. Czokor. Poza tym zajmowano się nowo rozbudzonym zainteresowaniem dla twórczości Henry Jamesa i Fr. Kafki, wpływem J. Joyce'a i realizmem takich pisarzy włoskich, jak Moravia, Vittorini i Carlo Levi. Jeżeli chodzi o kwestie zawodowe w ściślejszym tego słowa znaczeniu, to m. in. na wniosek polski postanowiono przyznawać specjalne nagrody dla tłumaczy z języków obcych na rodzime i odwrotnie. Z Inicjatywy polskich delegatów przeszedł również wniosek dotyczący wymiany bibliotek między poszczególnymi PEN-Clubami.

Zgodnie z ogólnym duchem, który panował na kongresie — niektórzy uczestnicy wiążą go w swych relacjach z atmosferą pogodnej beztroski i tolerancji, cechującej duńską stolicę — przystąpiono też sine ira et studio do załatwienia sprawy niemieckiej. Jeszcze przed tym, drugiego dnia zjazdu (2. 6.), specjalna komisja (powołana na wniosek polski w Zurychu) złożona z przedstawicieli Polski (Aleksander Wat), Czechosłowacji, Skandynawii, Francji, krajów Beneluxu, Palestyny oraz międzynarodowego sekretarza Clubu, Hermona Oulda, zbadała listę kandydatów na członków sekcji niemieckiej, przygotowaną przez prof. Friedmanna (grupa niemiecka — Londyn) wspólnie z pisarzami przebywającymi w Niemczech, których interesów żywo bronił Becher.

Przede wszystkim skreślono kandydatury Ernesta Wiecherta (przeniósł się na stałe do Szwajcarii), Hansa Leipa (silne zarzuty Holendrów dotyczące propagowania ideologii hitlerowskiej) i Rudolfa Aleksandra Schrodera nieprzejrzysta przeszłość polityczna). Dalsze nazwiska nie wywołały już większych sprzeciwów — oto one: Erich Kästner, Johannes R. Becher, Anna Seghers, Herbert Eulenberg, Johannes Tralow, Günther Birkenfeld, Ernst Penzoldt, Rudolf Schneider-Schelde, Reinhold Schneider, Günther Weisenborn, Ludwik Renn, Theodor Plievier, Hermann Kasack, Elisabeth Langgässer, Hans Henny Jahn, Axel Eggebrecht, Dolf Sternberger, Paul Wiegler, Friedrich Wolf i jako członek honorowy prof. Hermann Friedmann.

Ale — i tu dochodzimy do jedynego momentu pewnych tarć w sprawie niemieckiej na kongresie, nie na plenum zresztą a tylko w obradach wspomnianej komisji — delegaci Polski, Czechosłowacji i Francji zgadzając się zasadniczo na przytoczoną listę, wysunęli słuszne żądanie , by dano im 3 miesiące czasu dla dokładniejszego zbadania poszczególnych kandydatów. Jednak na prośbę Friedmanna, Bechera i de Mendelssohna (emigrant niemiecki, reprez. PEN - Club brytyjski) oponenci wycofali się z zajętego stanowiska i zadowolili ostatecznie postanowieniem, że komisja w dotychczasowym składzie będzie jeszcze przez rok sprawowała ogólną (bardzo ogólną!) kontrolę nad sekcją niemiecką, nie mieszając się za każdym razem do sprawy przyjęcia tego czy innego nowego członka. Jestem przekonany, że z relacji polskich uczestników kongresu dowiemy się dokładniej, w jaki sposób doszło do takiego kompromisu.

Trzeciego dnia kongresu sprawa reaktywowania PEN-Clubu niemieckiego znalazła się na plenum. Przewodniczył Flamandczyk Fr. de Backer. Gorąco za przyjęciem Niemców przemawiali Friedmann i Mendelssohn, ręcząc za nienaganność pisarzy z zaproponowanej listy. Mendelssohn dodał też, że nie będzie się chyba głosować nad przyjęciem Niemców, skoro „powrót" Japonii odbył się już bez żadnych sprzeciwów cicho i niespostrzeżenie. Niemców poparł również delegat żydowski J. Leftrich. Wreszcie głos zabrał Becher.

Pominąwszy znaną już z Zurychu teatralną płaczliwość trzeba przyznać, że słowa jego były nadzwyczaj zręczne. „Z głębokim dolesnym wzruszeniem — rozpoczął — zabieram głos w Kopenhadze, jako pierwszy niemiecki pisarz, który od chwili załamania się narodowego socjalizmu ma odwagę przemawiać tu w swym ojczystym języku. Ciężko mi niesłychanie mówić tym językiem, na który moi rodacy, nazistowscy zbrodniarze ściągnęli hańbę i nienawiść świata. Nie jestem w stanie ubrać moich myśli w słowa, nim nie oddam hołdu wielkiemu Duńczykowi, poecie Kaj Munkowi, zamordowanemu przez okupacyjnych oprawców..." (tym gestem zapewnił sobie Becher przychylność

JAN WYPLER

Brzuch z brązu

czyli o tłumaczeniach z chińskiego

Jan Wypler należy do najwybitniejszych znawców języka i kultury chińskiej. Jego przekłady z poezji i filozofii chińskiej, nie mogące doczekać się wydawców (Akademia Umiejętności?) dokonywane są z oryginału chińskiego w odróżnieniu od wielu innych „tłumaczy" z chińskiego. Poniższe uwagi samotnego sinologa wywołał Czesław Miłosz kilkoma zdaniami, dołączonymi do trawestacji chińskiej na łamach „Odrodzenia".

Jan Wypler mieszka na Śląsku, gdzie się urodził. Nie spotkało go żadne uznanie dotąd, jury żadnej nagrody naukowej nie rozpatrywało jego kandydatury. Działalność jego naukową omawialiśmy w swoim czasie na łamach „Odry". Milczenie wokół Wyplera podobne jest do milczenia, które przed wojną otaczało wybitnego uczonego Domana Wielucha, także Ślązaka. Jako autor pierwszego, rewelacyjnego w swej metodzie naukowej słownika chińsko-polskiego, wydanego 1938 w Katowicach własnym nakładem, udał się w czasie wojny do Danii, gdzie pracą jego zainteresowała się Królewska Akademia Nauk, która wydała jego słownik i inne prace, m. in. także z dziedziny chemii. Wieluch znalazł na obczyźnie mecenasów, przyjaciół i życzliwą atmosferę dla swej pracy. Jan Wypler, wielki uczony, domaga się tego samego we własnym kraju. Dziwimy się, że ani jeden uniwersytet dotąd nie zainteresował się uczonym śląskim, pozwalając mu na nauczanie w średniej szkole, wyniszczającej talent uczonego.

Mędrzec chiński mówi: W ojczyźnie swojej nie znajdziesz litości i uznania, chyba u boku kurtyzany...

W „Odrodzeniu" Nr. 20 (181) *Czesław Miłosz pisze we we wstępie do przekładu z poezji chińskiej, dokonanego na podstawie tekstów angielskich, co następuje: „Tłumaczenie poetów chińskich z drugiej ręki było dotychczas regułą i ja nie stanowię w tym wyjątku". W poprzednim zdaniu mówi o braku znajomości języka u poetów europejskich. Twierdzenia te zawierają pewne niedokładności. Prawdą jest, że poeta-liryk europejski w ścisłym tego słowa znaczeniu nie zna obecnie języka chińskiego, żeby mógł sobie pozwolić na przekład z oryginału. Ale byli i są w Europie (i w Polsce) sinolodzy o twórczym poetycznym usposobieniu. Posiadamy cały szereg poetyckich tłumaczeń sławnych sinologów np. James Legge, The Book of Poetry. Shanghaj, (słynna „Księga Pieśni"), Giles, H. i A., Chinese Poets in English Verse, London 1898 r. i tłumaczenia Forkego, Wilhelma, Hundhausena itd. Moje tłumaczenia, dotychczas opublikowane, zostały dokonane wyłącznie na podstawie oryginału chińskiego. Nie będzie więc od rzeczy powiedzieć słów parę o metodzie i zasadach tłumaczenia wierszy (i innych utworów literackich) z chińskiego.*

Pojęcie „liryczne" nie oznacza łaskawego przepisania jakiejś mającej być wyrażoną treści czy stanu rzeczy, ale bezpośrednie i najwyższe nasilenie, potężnie działającego symbolu poetyckiego. Pewne, że większość umiejących „czytać i pisać", już w języku ojczystym widzi i czyta tylko słowa i pojęcia, a nie zauważa i nie wyczuwa obrazów i symboli. Jakież trudności powstają przy przeżywaniu wierszy w językach obcych, a co dopiero w chińskim języku ideograficznym. Gdy we wszystkich prawie językach, np. indoeuropejskich, semickich, itd. tłumacz obcuje z duchem fleksyjnego albo aglutynacyjnego języka, to w języku chińskim monosylabowym i niefleksyjnym musi on pogodzić się z brakiem tej przesłanki, ponieważ tutaj psychologicznym kategoriom nie odpowiadają fleksyjne części mowy, utworzone przeważnie przy pomocy prefiksów afiksów lub sufiksów, (deklinacja i konjugacja). Przeważnie tłumacz jest filologiem, od którego tłumacz-poeta z drugiej ręki pewne tematy i motywy zapożycza, aby je podług własnego gustu czy uzdolnienia lub stosownie do mniemanej, własnej poetyckiej duchowości rozwiązać i sparafrazować.

Wiersz chiński — jak też proza — jest z ducha ideograficznego języka częścią składową sztuki malarskiej. Su Tung Po (11. wiek po Chr.) powiedział kiedyś, że poezja i malarstwo to właściwie jedno i to samo. Jak w żadnym innym języku, tak tutaj oko na równi z uchem ma swoją cząstkę w wewnętrznym przeżywaniu wiersza. Jako przykład dla unaocznienia kunsztownej budowy krótkiego wiersza chińskiego, niech posłuży czterowiersz poety Li Tai Po (8. wiek po Chr.) „Myśli cichej nocy". Stanowi on jedną zwrotkę, złożoną z 20 ideogramów w następującym wycyzelowanym układzie czterech wierszy, z których każdy zawiera 5 znaków (monopodii albo stóp wierszowych) o schemacie rymów: a a b a (Patrz tekst! Tekst chiński jest ułożony kolumnami. O ile mamy chińską książkę, zaczynamy czytać na ostatniej stronie od górnego końca pierwszej kolumny na prawej stronie i czytamy z góry na dół.)

床前看月光疑是地上霜。舉頭望山月，低頭思故鄉。

Łóżko: obok widzę księżycowy spłon.
Myślę: na podłodze pewnie kwitnie szron.
Głowę wznoszę: patrzę na wysoki blask.
Głowę spuszczam: myśl ślę do ojczystych stron.

Do środków metryki „klasycznej" chińskiej poezji należy dokładnie ustalona ilość sylab, ustalona liczba wierszy, system zwrotkowy, rym. Do tego dochodzi jeszcze melodia. Ale melodia i rytm są w tłumaczeniu bardzo trudne do oddania, jeśli w ogóle niemożliwe. Rozróżniamy w języku chińskim 2 główne grupy tonów: równy (ping) i nierówny (tse). Zazwyczaj są 2 wiersze tak sobie przeciwstawione, że tam, gdzie pierwszy wiersz posiada słowa w tonach równych, w drugim wierszu są słowa o tonach nierównych i na odwrót. Po 2-giej albo czwartej monopodii (ton nierówny) wiersz dzieli cezura (właściwie pauza muzyczna). Specyficzny rytm, falująca płynność powstaje atoli przez jednolite rozmieszczenie w poszczególnych wierszach tonów równych. Przeżycia dźwiękowe są niemożliwe do przetłumaczenia tak jak w piśmie przeżycia obrazowe. Ten wewnątrz chińskiego wiersza nurtujący rytm można w rytmie obcego języka oddać jakoś tylko przez wtórne przeżywanie.

Do tej tajemniczej istoty zagadnienia poezji należy też miara wierszowa, której tradycyjne formy poeta z wewnętrznego punktu ciężkości swej natury na mocy pierwotnego odruchu duszy na nowo ożywia. Tak zespala się np. rytmiczne podniecenie poety Li Po, wypływające z umiłowania świata i wina, z surową potęgą języka i natężonym rozumieniem sztuki. Li Po a z nim Tu Fu i Po Czü J, później Su Tung Po i inni osiągają tym samym najwyższy wyraz poetycki i są twórcami najczystszej chińskiej pieśni.

Wiersze i układ zwrotkowy można nazwać formą wewnętrzną. Do tego dochodzi jeszcze inna podstawowa cecha formy wewnętrznej: paralelizm członów wierszowych. Rozumiemy przez to przeciwstawienie pojęć i obrazów w ramach wiersza (spokrewnione zresztą z antytezą tonów). Układowi słów jednego wiersza odpowiada dokładnie szyk wyrazów drugiego wiersza z uwagi na wzajemną zawiłość i znaczenie ideogramów. Przykład w powyższym wierszu:

Podnoszę głowę, patrzę w blaski księżyca
Opuszczam głowę, myślę o ojczyźnie.

Także w założeniu całej treści, nastroju i poglądu poety rządzą określone prawa. Weźmy raz jeszcze jako przykład wyżej przytoczony utwór. Pierwszy wiersz maluje zazwyczaj tło obiektywne, otoczenie, krajobraz, a więc tutaj łoże, w którym wygnany poeta drzemie, w gospodzie na obczyźnie, podczas nocy księżycowej. Drugi wiersz wyraża myśl poety, myśl, że się tak wyrażę sprawozdawczą „Zdaje mi się że szron leży na ziemi". Jest to zarazem tło subiektywne. Ponieważ oba te wiersze należą do siebie przez pewną wspólnotę, bo oba malują tło, są powiązane rymem. W trzecim wierszu rymu nie ma, bo myśl w trzecim wierszu jest odskocznią, stanowiącą równocześnie nowy węzeł. „Podnoszę głowę do księżyca". Natrafiamy tutaj na myślowe albo uczuciowe napięcie, które dopiero w 4 wierszu znajduje rozwiązanie, „Spuszczam głowę i myślę o ojczyźnie". Ostatni wiersz obejmuje głębokim spojrzeniem nastrój całości i rymuje się z pierwszym i drugim wierszem. Każdy chiński wiersz odznacza się zwięzłością, refleksją i polotem. Wszelkie językowe ujawnienie wewnętrznych przeżyć i stanów ducha wyrażanych w wierszu jest dla niechińczyka nader trudne. Albowiem zasięg znaczeń przygodnych obrazów jest bardzo duży. Symbolowo jest zarazem, jeśli się posłużyć językiem matematyki, funkcją zmiennych uwarunkowaną innymi otaczającymi go symbolami słownymi. Sławny sinolog B. Karlgren (Göteborg) pisze słusznie, że nie jest to tak łatwo, jakby sobie ktoś myślał, nauczyć się, jak się pisze lub wymawia pojedyncze słowo i co ono znaczy; aby odkryć jego znaczenie, trzeba przebadać jedną lub kilka stronic w słowniku.

Jako przykład niech służy znak czeung. Znaczenia: powitać, robić, hodować, życie, być, niegotów itp. Pierwotny znak przedstawia roślinkę podnoszącą się z ziemi — z dwoma bocznymi pędami. Dalsze znaczenia: rósć, surowy, niedojrzały, nieobrobiony, kształcić się, uczeń, młody, świeży, utrzymanie, obcy, aktor i inne. Jeśli znak występuje w połączeniu z innymi, zmienia się jego znaczenie, np. sien szeung — przedtem urodzony, wielmożny pan, starszy, mistrz, nauczyciel. Można sobie wyobrazić, jak ogromne powstają trudności, gdy się chce wyczuć zmienne asocjacje w chwiejnym mirażu obrazów, jak trudno jest wydobyć tajemnicze piękno tej liryki. Nawet dobry sinolog może być zapędzony w kozi róg wobec brachylogicznego charakteru zdań, telegramowego języka i szkicowej natury myśli. Znaki języka chińskiego ze swymi znaczeniami, zwłaszcza dla początkującego, przedstawiają się jak chwiejny miraż obrazów na kształt różnobarwnego kobierca, w którego sztucznie ze sobą splątanych nitkach i ornamentach asocjacje pojęć i nastrojów prowadzą zagadkowy żywot, objawiający się stopniowo tylko poważnemu badaczowi. Chińczyk

(Dokończenie na stronie 4)

pod Kopenhagą

całej prasy duńskiej). Potem mówca podkreślił, że „każdy Niemiec wstydzi się narodowego socjalizmu" (?!) i apelował, by naród duński dał Niemcom szansę. „Gdyby ta rezolucja (dot. utworzenia sekcji niem. — przyp. mój) nie została przyjęta, to byłoby to dla nas straszliwym ciosem, okazało by się wtedy, że bojownicy niemieckiego ruchu oporu ofiarowali swe życie napróżno..." (! — podobnie argumentował Becher już rok temu). „Walcząc w sposób widoczny ze wzruszeniem — pisze sprawozdawca „Berlingske Tidende" — Becher podziękował wreszcie za pierwsze podanie ręki, dzięki czemu jego kraj wchodzi znów do wspólnoty europejskiej kultury i zakończył życzeniem by kiedyś w przyszłości międzynarodowy kongres PEN-Clubów mógł się odbyć w Berlinie, jako centrum nowych zjednoczonych Niemiec, które chcą pokoju, pokoju i tylko pokoju."

Przemówienie Bechera wywołało podobno burzliwe i długotrwałe oklaski. De Backer dziękując oświadczył: „Sądzę, że po tym cośmy słyszeli, głosowanie jest zbyteczne. Proponuję by kongres jednogłośnie i przez aklamację przyjął Niemcy jako w pełni uprawnionego członka do międzynarodowego PEN-Clubu." I tak się też stało. Po raz pierwszy od chwili kapitulacji Niemcy weszli na zasadzie równorzędności do stowarzyszenia o charakterze międzynarodowym. Bez sprzeciwu, bez specjalnych warunków, wyjąwszy dane przez nich przyrzeczenie, że nie będą dopuszczali do swej sekcji pisarzy, którzy odgrywali rolę w nazistowskiej propagandzie, „szczególnie w którymś z okupowanych przez Niemcy podczas wojny krajów." Tu można rzeczywiście mówić o zwycięstwie, o walnym i łatwym zwycięstwie. Widać to wyraźnie nie tylko z triumfalnych artykułów w prasie niemieckiej, ale też z relacji pism duńskich, jak „Nationaltidende", Land og Folg" i „Socialdemokraten".

Przypuszczając przed Kopenhagą, że Niemcy zostaną przyjęci do PEN-Clubu tak pisałem w „Nowinach Literackich": „Ostatecznie chodzi o to, czy Mr. Hermon Ould względnie ktoś inny powtórzy zdanie sprzed 22 lat: „Dajemy Niemcom poważną szansę, mając do nich zaufanie", czy też raczej wyrazi się ostrożniej: „Dajemy Niemcom poważną szansę, mimo że nie mamy do nich zbyt wielkiego zaufania". Z przykrością należy stwierdzić, że postąpiono jednak według recepty pierwszej. Właśnie przez utrącenie żądania polsko-czesko-francuskiego na komisji okazano Niemcom 100 proc. zaufania, że sami dopilnują, by do ich sekcji nie wkradły się politycznie podejrzane elementy. Jak to pisał po Zurychu Vercors? „Nie mam bynajmniej zamiaru — przypominam jego słowa — bronić takim ludziom jak Becher czy Kästner dostępu do PEN-Clubu, ale kardynalne pytanie brzmi: Czy Kästner zostawszy kiedyś członkiem PEN-Clubu, przeciwstawiłby się przyjęciu hitlerowca Kiaulehna", z którym współpracuje dziś jak gdyby nigdy nic w jednym piśmie? Pytanie to stało się teraz nad wyraz aktualne. I to tym bardziej, że...

I to tym bardziej, że z niwy niemieckiego życia literackiego mamy do zanotowania nowy uroczy kwiatek. Uczciwie trzeba przyznać, że wskazał nań ostatnio, po Kopenhadze, sam Becher. Nie zmienia to faktu, że to o czym zaraz będzie mowa jest jeszcze jednym dowodem popierającym słuszność zeszłorocznych zarzutów Vercorsa, dotyczących beztroskiego, wielce kompromitującego tolerowania b. nazistów w szeregach rzekomo demokratycznych pisarzy dzisiejszych Niemiec.

W berlińskim kongresie pisarzy, który się odbył ostatniej jesieni, brał m. in. udział bez jakichkolwiek przeszkód ze strony zebranych literat i publicysta Maximilian Müller-Jabusch, obecnie redaktor naczelny dziennika „Der Abend" (amer. sektor Berlina). Kimże jest p. Müller-Jabusch i czym się wsławił w przeszłości? Otóż wsławił się m. in. tym, że działał w r. 1933 w specjalnej komisji, która pod kierownictwem komisarza Hinkla i nazistowskiego poety Hansa Johsta utworzyła nowy „samowystarczalny" PEN-Club niemiecki, odżegnujący się od wszelkiej łączności z międzynarodową Federacją. Był to zresztą tylko dywersyjno - demagogiczny chwyt, bo niebawem i ta „samodzielna" grupa przestała istnieć. Tak to Müller-Jabusch był faktycznie jednym z grabarzy PEN-Clubu niemieckiego. Dziś oczywiście zapiera się tego w żywe oczy. Nie mogąc zaprzeczyć faktowi należenia do wspomnianej komisji stroi się w szaty bohatera i utrzymuje, że wszedł do niej „by ratować co się jeszcze uratować dało". (Der Abend" 12. 6. br.). Ładne to było ratowanie, nie ma co mówić!

Jeżeli wspomniałem o tej niesławnej historii to jedynie dlatego, by po raz nie wiem który zwrócić uwagę, że mniej lub więcej demokratyczni autorzy niemieccy mało dbają o czystość i nienaganność swoich szeregów. Trudno przypuścić, by np. nie wiedzieli o grzechach Müllera-Jabuscha (ma ich ponoć więcej na sumieniu), a jednak zupełnie się nimi nie interesowali. Dopiero teraz, po powrocie z Kopenhagi Becher wywlókł je na światło dzienne, ponieważ nazwisko winowajcy padło z ust któregoś z pisarzy... zagranicznych.

A cóż powiedzieć o wciąż ponawianych w Niemczech próbach, zmierzających do rehabilitacji Ernesta Jüngera? A skoro go zrehabilitują — co nie jest wcale wykluczone — to kto mu będzie mógł i chciał bronić wstępu do reaktywowanego PEN-Clubu niemieckiego?

Z powodu tych i wielu już dawniej poruszonych wątpliwości i obaw w każdym razie się wydaje, że zwycięstwo kopenhaskie, jak już podkreśliłem uprzednio, przyszło Niemcom zbyt łatwo. Trochę mniej sentymentalnego entuzjazmu i dobrego serca, trochę więcej zastrzeżeń i chłodnej rozwagi było tu, moim skromnym zdaniem, bardziej na miejscu. Choćby ze względów wychowawczych.

EGON NAGANOWSKI

P. S. Nie mogę sobie odmówić przy toczenia doskonałego kawału, który wyszedł na jaw w Kopenhadze. Mianowicie młodzież niemiecka zaprosiła na swój zjazd w Monachium szereg wybitnych pisarzy zagranicznych, m. in. Tomasza Hardy'ego (⊥1928), Williama Blake'a (⊥ 1827) i... P. B. Shelley'a!! Tak to edukacja hitlerowska wydaje pośmiertnie przednie owoce również w dziedzinie zasobu wiadomości o literaturze światowej!

E. N.

Juliusz Beneszić doktorem honorowym UJ

Była już na tym miejscu mowa o tym wielkim i niezrównanym ambasadorze naszej kultury, a specjalnie literatury w Jugosławii (Odra nr 3 z ub. r.), jakim jest profesor Dr Juliusz Beneszić. Najstarsza nasza wszechnica, Alma Mater Jagellonica, uznając jego ogromne zasługi, nadała mu godność doktora filozofii honoris causa.

Uroczysta promocja, na którą Dr Beneszić przybył z Zagrzebia, odbyła się 10 czerwca br. w wielkiej auli UJ w Krakowie z tradycyjnym ceremoniałem. Po odśpiewaniu przez Chór Akademicki pieśni „Gaude Mater Polonia" przywitał czcigodnego gościa dziekan wydziału humanistycznego prof. Dr Zenon Klemensiewicz przepięknym i wzruszającym przemówieniem. Zaznaczył w nim, że dzisiaj idea wzajemności słowiańskiej, praca na polu wymiany dóbr kulturalnych między poszczególnymi narodami słowiańskimi jest hasłem codziennym, jest niemal codziennym chlebem szerokich kręgów społeczeństwa, znajduje uznanie i poparcie najwyższych czynników, pomoc i ułatwienia, o jakich nie śniło się nikomu przed około 50 laty, gdy prof. Beneszić rozpoczynał swą działalność nad zapoznawaniem swoich ziomków z najpiękniejszymi utworami naszego piśmiennictwa. Pracy tej oddał się z całym młodzieńczym zapałem i entuzjazmem i nie ustaje w niej do dzisiaj, a przez mnogość przekładów, ich kongenialność, jak i przez liczne studia, artykuły i szkice z dziedziny naszej kultury i sztuki stanowi zjawisko rzadko spotykane w literaturze światowej. Gdy więc na porządku obrad Senatu akademickiego znalazł się wniosek o uczczenie tych zasług honorowym doktoratem, sprawa była całkiem jasna i naturalna.

Następnie prof. dr Wojesław Molé jako promotor odczytał obszerne uzasadnienie tej uchwały, w którym nakreślił życiorys Beneszića, niegdyś wychowanka Krakowskiego Uniwersytetu, zobrazował i scharakteryzował jego działalność, wśród której nie brakuje prac czysto naukowych, jak obszerna „Gramatyka języka chorwackiego czyli serbskiego", przeznaczona dla Polaków, tudzież znajdujący się obecnie w druku olbrzymi słownik serbochorwacko-polski i polsko-serbochorwacki. Zaznaczył też, że chcąc z drugiej znów strony zapoznać Polaków z arcydziełami literatur jugosłowiańskich, wśród niestrudzonej a ofiarnej pracy wydał jako redaktor 13 tomów „Biblioteki Jugosłowiańskiej", którą sam powołał do życia. Jako wybitny chorwacki poeta i krytyk, a także znawca teatru, mógł był inaczej pokierować swoim życiem, zakochany jednak w polskiej kulturze i literaturze oddał się jej niemal w całości. W końcu odczytał profesor Molé i wręczył Beneszićiowi po łacinie zredagowany pergaminowy dyplom nadania godności honorowego doktora filozofii.

Przygarbiony wiekiem i pracą, wzruszony do głębi, z drżeniem w głosie podziękował prof. Beneszić za ten najwyższy tytuł naukowy, o którym nie marzył ani wtedy, gdy przed czterdziestu kilku laty studiował w murach tej uczelni, ani nigdy potem, gdy pisał dla swych rodaków o sprawach polskich i tłumaczył dla nich najcelniejsze polskie utwory. Złożył wreszcie hołd pamięci prof. Marianna Zdziechowskiego, którego był uczniem i dzięki któremu poszedł w kierunku, jakim ten wielki polski slawista natchnął go przez osobisty kontakt.

Nastąpiły gratulacje, które nowemu doktorowi złożył rektor UJ prof. Dr Walter z gronem profesorów, imieniem ambasady jugosłowiańskiej sekr. Zeković, imieniem PAU prezes prof. Nitsch, imieniem teatrów krakowskich dyr. W. Nowakowski, który podniósł zasługi Beneszicia dla polskiej sztuki teatralnej przez wprowadzenie sztuk naszych autorów na sceny teatrów jugosłowiańskich i zorganizowanie licznych występów naszych artystów w Zagrzebiu; następnie prez. miasta H. Dobrowolski, przew. WRN Klimaszewski, młodzież akademicka i gimnazjalna studiująca język serbochorwacki, a wreszcie bardzo liczne grono przyjaciół i pań, które zasypały go kwiatami. Niemile raził brak zapowiedzianego delegata Zarządu Głów. Tow. Przyjaźni Polsko-Jugosłowiańskiej.

Po krótkiej przerwie prof. Beneszić wygłosił piękną polszczyzną interesujący odczyt „Literatura polska w przekładach u Chorwatów i Serbów w latach 1835—1947", okraszony dowcipnie sporą wiązanką różnych potknięć tłumaczy, wynikających z podobieństwa językowego.

Burza oklasków i serdeczna owacja były nagrodą i podzięką za ciekawy odczyt.

Prof. Beneszić, który udał się następnie w podróż po Polsce, zwiedził Katowice i Górny Śląsk w pierwszych dniach lipca.

Wiktor Basielich

ELŻBIETA MIŁANCZOWNA

Z poematu „Pieśń o Śląsku"

Introdukcja

Biedni ludzie
wygnani od gwiazd i ogrodów
czcili płomień
sypki w wykopaliskach;
Pochodnia w ręku płoszyła
zgubione spojrzenia wilcze
śliskie jak lot nietoperzy
sunących na nocny połów

Oni na plecach porosłych
niedźwiedzią sierścią zjeżoną
nieśli od dnia stworzenia
wszystkie płonące miasta
i jak lawina tętniły
imiona przyszłych pochodów:
Ilion i Kartagina
Korynt i Jeruzalem.

O nocy! — W niebo zamknięte
kiedy wyklęci śpiewali,
spadały twoje godziny
jak wieki coraz głuszej
i czcili płomień kamienny
jak pamięć mieczy ognistych,
przy stosach ciężkich od żalu
wzywali Prometeusza.

Drugi Salon Śląski w Katowicach

W dniu 20 czerwca w lokalu wystawowym Związku Zawodowego Polskich Plastyków w Katowicach otwarto drugą ogólnośląską wystawę malarstwa, grafiki i rzeźby. Obejmuje ona pracę 46-ciu artystów-plastyków działających na Śląsku. Najliczniej reprezentowane jest malarstwo, honor rzeźby ratują dwaj tylko artyści z tegorocznym laureatem nagrody plastycznej Woj. Rady Kultury, Stanisławem Marcinowem.

Niekompetentnemu w sprawach artystycznej oceny miłośnikowi sztuki wolno chyba powiedzieć, że każda kolejno wystawa pracujących na Śląsku plastyków przynosi coraz ciekawszy materiał i daje coraz lepsze wrażenia. Trudne warunki pracy, opieranie egzystencji na zajęciach pedagogicznych oraz dorywczych pracach zarobkowych nie sprzyjają rozwojowi i pogłębianiu talentów. Nie mniej rozwój ten istnieje i znać go u wszystkich wybitniejszych artystów naszego terenu. Wystawa świadczy, że dorobek śląskiego ośrodka plastyków wzbogacił się poważnie. Wskazuje ona także na żywsze niż dotychczas zainteresowanie się ich pracą. Ministerstwo Kultury i Sztuki poczyniło na wystawie szereg zakupów. Wojewódzka Rada Kultury, Zarząd Miasta Katowic i Urząd Wojewódzki wystąpiły z nagrodami. Nagrody są niewielkie, niemal symboliczne, ale jest to już poważniejsza zapowiedź zmian na lepsze, tym więcej że poważniejsze zakupy przyjdą podobno ze strony Okręgowej Komisji Związków Zawodowych.

W pierwszym dniu poza gośćmi obecnymi na otwarciu wystawę zwiedziło 85 osób. Jest to więcej niż ilość zwiedzających na trwającej miesiąc niedawnej wystawie rysunków Adama Marczyńskiego. Koniec roku szkolnego stanie na przeszkodzie grupowemu zwiedzaniu wystawy przez młodzież szkół średnich, ale dobrze byłoby, gdyby takie zwiedzanie zorganizowały świetlice i domy kultury.

Drugim interesującym wydarzeniem artystycznym było otwarcie w tym samym dniu wystawy prac uczniów katowickiego oddziału wrocławskiej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych kierowanego przez Aleksandra Raka. Wystawa ta jest nowym zastrzykiem optymizmu. Śląsk ma zdolną, budzącą duże nadzieje młodzież artystyczną. Na wystawie wręcz imponuje poziom grafiki użytkowej z klasy Józefa Mroszczaka. Praca szkoły godna jest prawdziwego uznania. (zh)

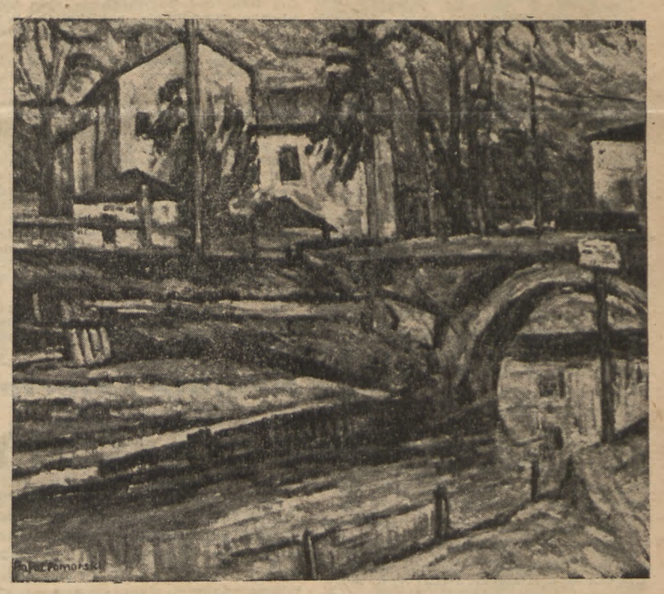

Witold Ciechanowicz: Baranowice Śląskie (gwasz)

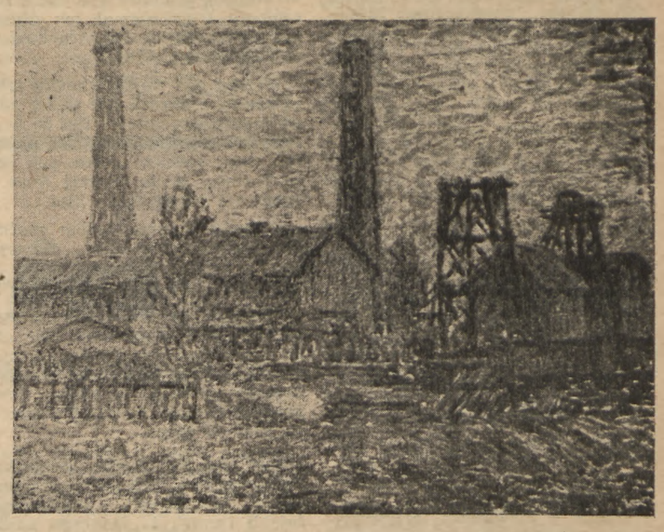

Marian Wyrożemski: Fragment kopalni Rozbark (olej)

Rafał Pomorski: Pejzaż (olej)

STANISŁAW WASYLEWSKI

Basia, Bronek i Lina

Chyba każdy z legionistów włoskich, podśpiewując o tej Basi, do której mówi ojciec cały zapłakany, wiedział, że weszła ona w pieśń gwoli zrobienia przyjemności Wodzowi. Stęskniony za polskością gen. J. H. Dąbrowski, owdowiawszy zadurzył się w swatanej mu podczaszance wschowskiej, już dobrze pełnoletniej, ale lali, „kochanej lali", jak ją nazywano. Zawsze miała pstro w głowie, a dopieroż mazurek Dąbrowskiego zmanierował ją do reszty. Piękne to było i naprawdę wzruszające, gdy gorzki, oszukany przez Napoleona, spychany przez Konstantego uwielbiany przez Łukasińskiego i podziemie generał powtarzał w swej winnogórskiej samotni za każdym nowym zawodem: a ja mam mojego mazurka! — gorzej, gdy głupią trusię wsiadającą w Warszawie do 6-konnej karocy, czy wchodzącą do teatru w Poznaniu witał hymn narodowy, uważany przez nią za panegiryk ku jej i nieboszczyka czci. Przewróciło się Basi z Chłapowskich w głowie tak bardzo, że puszyła się jak przyszła (zmarła w r. 1848) królowa polska, wcale nie gorsza od emigracyjnej Anny I!

Niewiele można było rokować z progenitury bohatera, wychowanej przez matkę w Warszawie: po synu jedynym, podawanym do chrztu w roku Kongresu wiedeńskiego w Warszawie przez 24 oficerów W. P. z namiestnikiem Zajączkiem na czele? I po córce, Bogulinie, maślonej już od kolebki wychwałkami gotowego zawsze do usług skoropisa, o którym gadka stolicy słusznie opiewała:

Idzie Molski, w ręku oda
Do Chrystusa lub Heroda.
W pogotowiu wierszy trzysta
Na przybycie Antychrysta.

BOMBA W PAŁACU PACA

Tymczasem los spłatał kochanej Basi okrutnego figla. Ramieniem przeznaczenia stał się w tym wypadku światły mąż, „człowiek-Polska" autor „Powrotu Posła", J. U. Niemcewicz. Na prośbę wdowy o wskazanie guwernera dla dwojga dzieci, wprowadził do pałacu Paca młodzieńca bardzo wymownego i wysłownego, który się zwał Tadeusz Krępowiecki. Wraz z nim wszedł pod dach snobistycznego pałacu — przewrót społeczny. Guwerner jął z miejsca przestawiać mebelki w dziecięcych mózgownicach, tak że mogły wyróść na porządnych ludzi. Grube mury pacowskiego dworzyszcza znęciły wkrótce kolegów guwernera, jako ci: Kozłowski, Czyński, Gacki, Pułaski, a więc niedalecy założyciele klubu Jakobinów Warszawy, do którego twórców należał i Krępowiecki. Po lekcjach odbywały się posiedzenia wywrotowej lewicy.

Przez dziurkę od klucza przysłuchiwał się Bronek i Lina, (poświadczająca to w swych pamiętnikach) dyskusjom czerwonych młodzieńców, którzy tu mogli rozprawiać swobodniej niż w „Dziurce" czy „Honoratce", gdzie ajent herszta wywiadu Makrota, pomimo kłębów fajkowego dymu, dosłyszał i zanotował każde słowo. Grube mury pałacu Paca uszu nie miały. Podsłuchy przez dziurkę od klucza to były pierwsze ziarna, rzucone w dusze dzieci jenerała Dąbrowskiego. Ojciec, stary mason narodowy i postępowiec społeczny, cieszyłby się, maman natomiast, gdyby wiedziała, przepędziłaby z domu zbrodniczych „klubistów", sączących jad trucizny w serduszka jej dzieciaków.

Ta guwernerka — nawiasem mówiąc — to jedyna pozytywna zasługa, Krępowieckiego. Retor doskonały ze szkoły L. Osińskiego, którego był uczniem w uniwersytecie, umiał tylko gadać ozdobnie na posiedzeniach Tow. Patriotycznego i później na mityngach emigracyjnych. Pamflecista zręczny (świadczy satyra z r. 1827: „Romantyczność", dowcipna parodia ballad Mickiewicza), organizator marny (podobno dzięki niemu noc 15 sierpnia 1831 spaliła na panewce). Mochnacki i Lelewel nie brali go na serio, Mickiewicz, — choć przekonany judofil, — zarzucał mu „starozakonność" w kiepskim gatunku.

KOMPLEKS WIELKIEGO OJCA

Bronisław Dąbrowski nie zmarnował się, choć miał wszelkie dane po temu. Grał w karty, trwonił schedę, robił długi i wreszcie w r. 1835 za jakąś burdę z okazji pojedynku dopytał się kryminału. Po ojcu wziął dziedzictwo cenniejsze niż talary od maman: „Jestem nie tylko dumny z takiego ojca, postaram się też być g o d n y m przez moje własne osiągnięcia!" (przekład z franc. rękopiśmiennego listu do Liny). W kryminale znajduje fircyk nowego wychowawcę i znów w sposób nieoczekiwany. Formuje go ostatnia, emigracyjna nowość literacka: Historia powstania 31 roku Maurycego M o c h n a c k i e g o. Pod wpływem tej epopei budzi się w jedynaku marzony przez ojca żołnierz. Kształci się dalej, słucha Hegla i Gansa, statecznieje. Już bez obawy zaguby i sprusaczenia służy jako ochotnik w brygadzie artylerii w Berlinie. Powróciwszy do domu, opada znów, rozluźnia się. Żyje bez przydziału. Polowaniem, szlichtadą, wintem głuszy pustkę. Pławi się wraz z współpowietnikami w bezmyślnie hucznym bałagulstwie, bo jego ideały są jednakie po tej i po tamtej stronie kordonu. Z Poznania do Królestwa może sobie uczeń klubistów wojażować do woli, od kiedy za żoną z Mazowsza wziął znaczny majątek.

KIM BYŁ RZEKOMY KOWALSKI?

Oto trzeci piorun w czasie próżniaczej rozdobędy. Wiosną roku 1845 gdzieś pod Siedlcami czy Brześciem, pomiędzy wistem i polowaniem w czasie pobytu u krewnych odszukuje Dąbrowskiego-syna jakiś czarujący młodzieniec z Paryża. Opowiada mu z urzekającym ogniem o jarzmie, o rewolucji, o sile własnej, którą stworzyć musimy, o sprawiedliwości społecznej itd. Mówi i świdruje oczami. Sugeruje go, urzeka, bierze na smycz. Kogo? Bałagułę — legitymistę — snoba?! Jakim cudem?

Takim cudem, że ten rzekomy Kowalski zwał się w istocie Ludwik M i e r o s ł a w s k i. Prawie słyszę, jak w polsko-paryskim żargonie urzeka galanta:

— Pan nosisz nazwisko, jaśniejące sławą niezatartą, **n'est pas?** Pan jesteś człowiekiem wpływowym u obu rządów i u szlachty. I masz majątek, który starczy na zaczęcie...

— Czego?... — bąka zdetonowany, najlepszy na parkietach Berlina tancerz walca wiedeńskiego.

— Mianuję Pana, vous savez, naczelnikiem powstania ludowego na prawym skrzydle Wisły. Owładniesz Modlinem i Siedlcami!

— Modlinem, Siedlcami... powtarza jak w malignie młodzian, który dawno obiecywał stać się godnym swego ojca.

— Potem pomaszerujesz pod Sandomierz, nawiążesz łączność z korpusami Galicjan i Wielkopolan i wespół uderzymy na Warszawę. **C'est tout.**

Dąbrowski daremnie oponował: 1) brak mu wyższych studiów wojskowych, raz tylko był adiutantem gen. Grollmana na Śląsku 2) o metodach werbunku nie ma pojęcia 3) nie wierzy w zorganizowanie całej armii na poczekaniu.

— Et ta soeur! — zaklął zirytowany, nie znoszący sprzeciwu dyktator — ale jesteś nam potrzebny jako człowiek, mogący każdą ilość broni przewieźć przez kordon, jako człowiek widziany równie dobrze na cytadeli poznańskiej jak na Zamku warszawskim. Skończyłem.

17 DUBELTÓWEK I 5 ODLEWACZY KUL

Posłuszny woli dyktatora młodzian naprzewoził trochę broni przez kordon, za czym pojechał do swego Kuflewa na Podlasiu w lutym 1846, i zarządził tam mobilizację... całego narodu oraz przegląd własnego arsenału. Nie był zbyt bogaty, dysponując sprzętem następującym: a) 17 dubeltówek, częściowo uszkodzonych, ale kowal kuflewski obiecuje naprawić je w terminie; b) 5 odlewaczy kul, które są trochę za duże, więc należy każdą kulę przyklepać młotkiem przed użyciem. Sztab przyszłej armii, złożony z kilkunastu ochotników, którzy przybyli wraz z Bronisławem Dąbrowskim, zmienił ordre de bataille w tym sensie, że atak na miasto Siedlce przeprowadzi dziedzic sąsiedniej Cisy, Pantaleon P o t o c k i, zaś Dąbrowski załatwi się z Siedlcami sam. Uderzy na fortecę w 17 dubeltówek naprawionych już przez kowala, a potem jakoś to będzie! („O melancholio, nimfo, skąd ty rodem?").

Wiadomo, jaki obrót wzięła szaleńcza, na wierze w potęgę improwizacji przygotowywana, impreza Mierosławskiego. W przededniu ataku przybyła do Kuflewa z Poznania żona wodza sił zbrojnych z hiobową nowiną: organizacja rozbita, Mierosławski aresztowany, termin wybuchu odroczony. Szubienica i Sybir w Królestwie, proces 250 Moabitczyków w Berlinie. Do liczby ich należał też Dąbrowski. Aresztowano go u szwagra nad Elsterą, udowodniono, że przewoził transporty broni przez komorę, a działał wespół z nieszczęsnym, powieszonym w Siedlcach Pantaleonem Potockim. Stryczek zawdzięczał ów Pantaleon właściwie Dąbrowskiemu, który nie zdążył przed swym ucieczką pchnąć wartkiego gońca do Cisy.

DUMA PRZEDE WSZYSTKIM

W śledztwie sądowym natomiast zachowywał się dzielnie. Licząc się z możliwością dania głowy pod topór, pisze z więzienia do siostry: „o żadne łaski prosić nikogo nie trzeba. To jedno, o co was proszę: żeby się nikt o mnie nie prosił. Duma przede wszystkim!" (rkp.) Nie umiał okazać tego hartu Mierosławski w swych zeznaniach. Skazanego na 2 lata fortecy, bez zaliczenia 2 lat kaźni śledczej, wypuściła na wolność wiosna ludów. I jego również obnosił w triumfie po Berlinie tłum prusacki, na sekundę zrewolucjonizowany. Poszedł, a raczej truchtem pobiegł do powstania wielkopolskiego. By do reszty oczyścić się w ogniu, legalnym już i jawnym. Nie wiele było i nie długo tej służby oczyszczającej. Osiem godzin w ogniu armatnim. („Za nic nie rachuję letką kontuzję, com dostał od kuli armatniej w lewą łapę."). Żył jeszcze długo, wciąż w rozterce, bez możności dorównania wielkiemu ojcu. Goryczy chyba napił się tyleż samo. W r. 1880 wreszcie złamano tarczę herbową nad grobem ostatniego męskiego potomka twórcy Legionów włoskich.

EKSPORT ZBOŻA I KONSPIRACJA

A Lina? Uważny czytelnik Słowackiego listów do matki wspomni, że spotkał ją autor „Kordiana", przekradając się za granicę jako kurier Rządu Narodowego w 31 roku do Londynu. Czynna romantyczka nie sprzeniewierzyła się dziewczęcym ideałom, podsłuchiwanym przez dziurkę od klucza w pałacu Paca. Poślubiwszy Teodora Mańkowskiego, obrotnego szlachcica z Podola, miała dość okazji do czynienia dobrze. Założyli w Londynie Bank Rolniczo-Przemysłowy, który przynosił znakomite (póki go Mikołaj I nie nie zdusił) dochody z importu zboża na rynki zachodniej Europy. Nie chowając talarów w pończochę, wspomagała imprezę Legionu Mickiewicza w dobie wiosny ludów, zamysły Mierosławskiego i wszelkie poczynania tego rodzaju. Mesjanista - wynalazca Hoene - Wroński generalissimus belgijski, Skrzynecki, Cyprian Norwid nieraz pukali do jej szczodrobliwości. A w ogóle nabierał ją na emigracji każdy, kto w Boga i postęp wierzył. Samotną w dekadzie pracy organicznej Wielkopolski staruszkę, która dożyła roku 1901, pociesżały wspomnienia o wielkim ojcu.

Był w poznańskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk wożny pono łudząco podobny do Generała. Powinnością jego było jawić się co jakiś czas w domu zdziecinniałej już trochę pani Boguliny Mańkowskiej, przywdziać mundur paradny jej ojca i zbliżać się bardzo powoli do łoża chorej. W pewnej chwili, gdy już był niedaleko, padał rozkaz: „odejdź, odejdź brzydalu. Ty nie jesteś mój papa!" Cofał się posłusznie, by za tydzień powrócić. Pani Ludwikowa z Kwileckich Puszetowa, wdowa po zamordowanym przez Gestapo niedoścignionym rzeźbiarzu zwierząt, Ludwiku Puszecie, malowała za lat młodych portret swej babki. Warto by go odnaleźć i zabezpieczyć w wielkopolskim Oporowie.

Tyle. W miesiącu 130-rocznicy śmierci gen. J. H. Dąbrowskiego, który pierwszy wypisał na sztandarach polskich: „Wszyscy wolni ludzie są bracią!" — uważałem za potrzebne przypomnieć imiona jego ukochanej trójki.

Stanisław Wasylewski

Korespondencja

Jeszcze w sprawie orzeczenia jury nagrody m. Nysy

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z wydrukowanym w Pańskim piśmie z dnia 27 czerwca 1948 protestem p. p. Romana Lutmana i Tadeusza Mikulskiego w sprawie nagrody Ziemi Nyskiej proszę uprzejmie o zamieszczenie niniejszego oświadczenia:

Sąd Konkursowy nagrody Ziemi Nyskiej z dnia 29. V. 1948 r. po gruntownej i wszechstronnej dyskusji rozpatrzywszy wartość 14 nadesłanych na konkurs prac, nagrodził z nich trzy czyli jedną piątą nadesłanych. Przestrzegano tu dwóch głównych warunków a) rzeczywistego związku tematyki z Ziemią Nyską, b) wartości artystycznej wzgl. naukowej utworu.

Rzeczy obecnie przez autorów protestu publicznie wzięte w obronę warunków tych nie spełniały, a mianowicie: „Ostatnia gwiazda" a) jako luźno związana z Ziemią Nyską w ostatniej dopiero, dysproporcjonalnie krótkiej i najsłabszej części, b) jako rzecz kompozycyjnie zła i niewykończona z źle pomyślanym i wykonanym bohaterem, bodaj najmocniej akcentująca w jego życiu doświadczenia seksualne operująca językiem pod względem artystycznym nieprzemyślanym. Broniący jej członek Sądu Konkursowego sam stwierdził na posiedzeniu Sądu, że rzecz cała wymaga przepracowania i wykończenia. Otóż wyróżnienie jej byłoby naruszeniem przepisów konkursowych i byłoby naruszeniem powagi nagrody Ziemi Nyskiej, co większością głosów uznali członkowie jury.

„Poemat o Nysie" posiadający tadne poetyckie, w sumie nie wydobył cech indywidualnych Nysy i mógł doskonale odnosić się do każdego innego w czasie wojny zniszczonego miasta nad rzeką.

Wziąwszy to pod uwagę, a mając w pamięci rzeczowy i poważny przebieg obrad Sądu Konkursowego, uznać muszę zdanie p. dr Lutmana, który w posiedzeniu Sądu nie uczestniczył i p. prof. Mikulskiego o „niefrasobliwym wyeliminowaniu ... dzieł literackich, spełniających warunki sztuki pisarskiej i tematu" za sprzeczne z rzeczywistością, a za wysoce krzywdzące dla członków Sądu, a) rzucenie niedwuznacznej sugestii o ich negatywnym stosunku do tematyki Ziem Odzyskanych b) usiłowanie podważenia (w protestu częściach końcowych) ich orzeczeń strony etycznej.

Stanisław Kolbuszewski
Prof. Uniwersytetu Wrocławskiego
Przewodniczący Sądu Konkursowego
Nagrody Ziemi Nyskiej

Wrocław, 28. VI. 48.

Komunikat Polskiego Towarzystwa Historycznego

Polskie Tow. Historyczne wyznaczyło 3 nagrody (w wysokości 250.000 200.000 i 100.000 zł.) za prace naukowe dotyczące dziejów Ziem Odzyskanych (Śląsk, Pomorze Ziemia Lubuska, Prusy Wschodnie), wydane w latach 1945—1948, lub przedłożone w rękopisie. Prace należy nadsyłać do Sekretariatu Generalnego Polskiego Tow. Historycznego pod adresem: Warszawa, Uniwersytet, Instytut Historyczny, doc. dr Aleksander Gieysztor, do dnia 1 lipca br.

Sąd konkursowy pod przewodnictwem prof. d-ra Kazimierza Tymienieckiego ogłosi przyznanie nagrody w dniu 9 września br. we Wrocławiu w czasie VII Powszechnego Zjazdu Historyków.

Doc. Dr Aleksander Gieysztor

Wśród czasopism

Na Ziemiach Odzyskanych utrwaliło się już kilka periodyków, zbliżonych do typu pisma literackiego lub o wyraźnym charakterze literacko-artystycznym. Najbiedniejszy jest tu Poznań jako ośrodek kulturalny, z którym związane są spore połacie terenów odzyskanych. Po likwidacji *„Życia Literackiego"* istnieje tam luka, którą próbuje wypełnić teraz *„Dziennik Literacki"*, dołączony do części nakładu *„Głosu Wielkopolski"* jako dodatek niedzielny.

Zespół tych periodyków tworzą: we Wrocławiu *„Zeszyty Wrocławskie"* i miesięcznik *„Śląsk"*, pomorska *„Arkona"* i najdalej na krańce wysunięty tygodnik *„Szczecin"*. Wszystkie te pisma mają odrębny charakter i każde z nich jest w swoim sensie potrzebne i pożyteczne. Pomijając *„Zeszyty Wrocławskie"*, których numer drugi ma ukazać się w dniach najbliższych, których byt podobno już się ustabilizował, a przed których omawianiem mam wybitną tremę, by znów nie narazić się redakcji, chciałem zwrócić uwagę na losy pozostałych trzech czasopism.

Wrocławsko-jeleniogórski *„Śląsk"* ułatwia sobie życie w ten sposób, że wydaje numery potrójne i wychodzi w praktyce jako kwartalnik. Ten fakt nie pozostaje bez wpływu na sposób redagowania pisma, które dużo zajmuje się przeszłością Śląska w rozprawach i rozprawkach o charakterze popularno-naukowym, mało poświęca miejsca bieżącym wydarzeniom kulturalnym i przez to w słabym stopniu daje odbicie aktualnego życia kulturalnego Dolnego Śląska. Wydaje się, że pismo to wymagałoby ożywienia, większego urozmaicenia, silniejszego związania ze współczesnością kulturalną terenu. *Śląsk* dawał już próby w tym kierunku. Były nimi takie numery, jak ostatni literacki, jak zeszyty specjalne, o których jednak pisać trzeba było krytycznie mimo nieszczerych zachwytów Jaszcza. Ostatni np. zeszyt przynosi następujące pozycje: obszerny szkic biograficzny Stanisława Kołbuszewskiego o Aniele Ślązaku (napisany zresztą z manierą stylistyczną i z błędami w rodzaju: „mistyka jest coś dla ludzi zwykłych przerażającego"), relację Krystyny Pieradzkiej „Nędza ludu śląskiego pod rządami pruskimi w świetle niektórych relacyj obcych podróżników XIX w", Stanisława Tyńca „Wędrówki Ślązaków, profesorów i studentów do Prus Królewskich w XVI w.", krótki szkic informacyjny o towarzyszu prac oświatowo-narodowych Lompy z lat 1848/49 Emanuelu Smołce pióra Janiny Enderówny, szkic Mariana Smereki „Wartość estetyczna epiki Bonczyka". Materiał literacki stanowią: wiersz Teofila Kowalczyka „Pod herbem jelenia" i fragment prozy Henryka Worcella „Grzech Antoniego Grudy". Na wiersz Kowalczyka warto zwrócić uwagę. Obok innych, drukowanych w ostatnich miesiącach, ale dosyć rzadkich utworów tego późno debiutującego poety świadczy on o jego niebanalnej ewolucji. Proza Worcella to kawał tęgiej, choć niezbyt frapującej tym razem przez swój artystyczny konwencjonalizm epiki polskiego chłopa na Ziemiach Odzyskanych. Rzecz mówi o potwornym, zabijającym ciało i duszę trudzie dwojga ludzi, dźwigających we dwójkę ciężar wielkiego gospodarstwa, na Dolnym Śląsku. Fragment daje tylko pierwszy etap rodzących się z przeciążenia pracą konfliktów. Dalsze, natury moralnej, w urywku znajdują dopiero swą zapowiedź. Numer zamyka „list otwarty" redaktora *„Śląska"*, Stefana M. Kuczyńskiego do Wilh. Szewczyka, jako felietonisty „Dziennika Zachodniego". List ze zbytnim może patosem i z pewnym upraszczaniem sprawy przez sprowadzanie jej m. in. do zagadnienia stosowania środków prawnych i kar mówi o potrzebie walki o kulturalny sposób bycia.

Miesięcznik *„Arkona"*, wydawany w Bydgoszczy, ale obejmujący swoimi zainteresowaniami całe Pomorze i Wybrzeże aż po Szczecin trzyma się wiernie i konsekwentnie wypracowanego sobie typu pisma regionalnego, poświęconego kulturze i sztuce. Literatura, plastyka, teatr, imprezy kulturalne, muzyka — oto dziedziny, które *„Arkona"* nawet nie tylko w zakresie regionu reprezentuje bogato i interesująco. Z okazji numeru potrójnego za okres kwiecień — czerwiec (to pismo też musi w ten sposób ułatwiać sobie przetrwanie z braku hojniejszego mecenasa) wypadało by mi powtórzyć komplementy, które padły już na tym miejscu kilkakrotnie. Powiem więc tylko krótko: bardzo kulturalne, wszechstronne i pożyteczne pismo. Jeśli mówię „pożyteczne", myślę o tym, że wydaje mi się niewątpliwym jego dodatni wpływ na kształtowanie się upodobań i zainteresowań kulturalnych w środowisku, dla którego *„Arkona"* pracuje. Pismo jest eklektyczne, ale i takie pisma są potrzebne, i takie pisma przynoszą kulturze pożytek. *„Arkona"* to przede wszystkim doskonałe pismo informacyjne, które orientuje w zjawiskach artystycznych i kulturalnych w ogóle rzeczowo i obiektywnie. Z omawianego numeru zwrócić chciałbym uwagę na fragment komedii gdańskiej o Krzysztofie Arciszewskim i Władysławie IV „Latający Holender" Artura Marii Swinarskiego. Autor ma spory dorobek dramatopisarski, z którego z krzywdą dla pisarza rzadko jednak pojawia się coś na scenie. Myślę, że temperament satyryczny i polemiczny Swinarskiego, mnóstwo ostrych zadrażnień, które powstają wszędzie, gdzie się pojawi ten świetny i bezpardonowy satyryk, sprawiają, że sztuki jego z trudem torują sobie drogę na sceny, którymi kierują ludzie mniej lub więcej przez Artura Maryę urażeni. A szkoda. Bo przy posusze repertuarowej nie możemy sobie pozwalać na lekkomyślną rozrzutność pomijania autora z niewątpliwym talentem i dużą kulturą pisarską. Czy któryś z teatrów Wybrzeża nie przełamie tego obyczaju i nie wprowadzi komedii gdańskiej Swinarskiego na scenę?

Trzecim z interesujących nas tu pism jest tygodnik Wybrzeża *„Szczecin"*. Różni się on poważnie od dwóch powyżej omawianych periodyków. Nie jest czasopismem literackim, sprawy literatury i kultury uwzględnia na równi z zagadnieniami gospodarczymi i sprawami odbudowy swego terenu. Ostatnio przeszedł przez poważne i pozytywne zmiany. Przyjął nową, znacznie bardziej pociągającą szatę graficzną, która ułatwia celowe i estetyczne rozplanowanie materiału. Przy okazji tej sformułował też swoje założenia programowe. Chodzi mu o odzwierciedlenie zagadnień odbudowy i rozbudowy Wybrzeża, służenie sprawom polskiej polityki morskiej, uchwycenie wszystkich przejawów i rezultatów twórczej pracy elementu polskiego na Wybrzeżu, o aktywizację życia kulturalnego. W nowych warunkach dział literacki pisma ma być rozbudowany. Konkurs tego tygodnika na opowiadanie marynistyczne z nagrodą, ufundowaną przez Zarząd Miejski w Szczecinie nie został bogato obesłany. Wpłynęło tylko jedenaście prac. Być może jednak, że ta ilość świadczy tylko o tym, że nie zdążyli na konkurs grafomani. Choć to mało prawdopodobne. Ci są zawsze pierwsi. Przychodzi im to bez trudu. *„Szczecin"* nabiera coraz wyraźniej charakteru periodycznego organu prasowego swojego miasta i związanego z nim terenu Wybrzeża. Jego ulepszenia stanowią chyba zapowiedź większego ożywienia i pogłębienia życia kulturalnego w tym rejonie.

(ki)

Wrocławskie premiery

Państwowy Teatr Dolnośląski: „Żołnierz i bohater" G. B. Shawa i „Harry Smith odkrywa Amerykę" K. Simonowa.

Po kilkumiesięcznej nieobecności wrócił do Wrocławia J. Kurnakowicz. W międzyczasie nakręcił dwa filmy i stworzył w krakowskich teatrach kilka kreacyj, po których paru poważnych recenzentów nie zawahało się nazwać go najlepszym polskim aktorem. We Wrocławiu ujrzeliśmy Kurnakowicza jako majora Petkowa w „Żołnierzu i bohaterze" Shawa, oraz jako Mackphersona w sztuce Simonowa „Harry Smith odkrywa Amerykę". Obie role diametralnie różne, pozwoliły jeszcze raz ocenić mistrzostwo wielkiego artysty. Brudny, zaniedbany, jowialny major „shawowskiej" Bułgarii i elegancki opanowany, a jednocześnie naładowany brutalną siłą potentat prasowy Ameryki żyli w ujęciu Kurnakowicza wspaniałym, niefałszowanym życiem. Każdy ruch, każda intonacja głosu, każde drgnienie twarzy złożyło się na świetną konstrukcję postaci ożywioną, ogromną wewnętrzną pasją. Trudno zapomnieć prymitywne wprost wybuchy radości i skrzące się naiwną chytrością oczy Petkowa, czy świetnie tłumiony wybuch gniewu Mackphersona. Konsekwentnie rozwijana przez Kurnakowicza linia tej ostatniej roli zakończona jak wykrzyknikiem milczącą ale jak wymowną gierką wyrzucenia czerwonego goździka z klapy marynarki, sprawiła, że nieco papierowa i jednostronnie oświetlona postać rekina prasowego nabrała wyrazu i prawdy ludzkiej.

Sztuki Shawa i Simonowa reżyserował Marian Godlewski. Nic dziwnego, że któryś z kompozytorów dorobił do „Żołnierza i bohatera" muzyczkę i puścił ją w świat jako operetkę. Nieprawdopodobna historyjka w prawie że „mitycznej" Bułgarii po odjęciu kilkunastu shawowskich paradoksów i kilkunastu społeczno-kpiarskich powiedzeń, stałaby się pretensjonalną bujdą w stylu operetek Kalmana czy Abrahama dlatego też wydobycie tych shawowskich rodzynków jest rzeczą zasadniczą, reszta sztuki może się nawet nurzać w operetkowym sosie. Niestety pointy te nie zostały we Wrocławiu wydobyte, a całość, potraktowana za ciężko, trąciła operą. Jedynie żywiołowy humor Kurnakowicza trzymał widownię w napięciu. Dobrze zagrała impulsywną, pełną temperamentu rolę służącej Luki Stefania Waldenowa. Obsada niektórych pozostałych ról była nieporozumieniem.

Sztuka Simonowa posiada wiele cech dziennikarskiego reportażu. Przerywany nurt akcji (bez akcji uboczn.) pobieżnie nodmalowanane tło, postacie nakreślone prostymi szybkimi kreskami. Mimo wyraźnej linii ideowej autor potrafił jednak oświetlić konflikt z kilku stron, co znacznie przyczyniło się do uprawdopodobnienia tematu i pozwoliło na tym mocniejsze wydobycie założonych przez Simonowa tez. Ameryka odkrywana przez Harry Smitha nie jest krajem potentatów finansowych i rekinów, prasowych którzy pozornie zwyciężają w sztuce, ale jest Ameryką wolnych ludzi Ameryką Lincolna i Roosevelta.

Marian Godlewski reżyserując „Harry Smitha" słusznie nie starał się ocalać, czy wyszukiwać elementów budowy dramatów ale podkreślił reportażową kostrukcję sztuki, wydobywając mocnymi akcentami pointy kończące poszczególne obrazy. Skutkiem tego akcja, szczególnie w drugiej części sztuki, od momentu dramatycznej rozmowy Smitha z Mackfersonem, toczyła się w wartkim tempie.

Na dobro reżysera też należy zaliczyć, że nie dał się porwać płaskiej „amerykanizacji" scenicznej. Amerykanie w koncepcji Godlewskiego, byli może trochę hałaśliwymi, ale w każdym razie normalnymi ludźmi, a nie wałącymi się co chwila z całej siły po plecach i zakładającymi nogi na najdalej stojący mebel dziwolągami.

Tytułową rolę zagrał z wielkim umiarem Adolf Chronicki. Znalazł on świetne oparcie w postaci Macphersona stworzonej przez Kurnakowicza. W nierównej walce, otoczonego zgrają wyzyskiwaczy, lizusów, lub tchórzy, samotnego człowieka, przeciw wielkiej indywidualności nie mającego skrupułów, bezwzględnego potentata, — zachował spokój i nie dał się wciągnąć na łatwe ścieżki melodramatu.

Janina Martynowska przeżywała rolę Jessie głęboko, może nawet zbyt głęboko. Trudno było wprost uwierzyć, żeby tak bogata wewnętrznie kobieta porzuciła swego ukochanego w najtrudniejszym momencie życia.

Dobrą postać szlachetnego pijaczyny Murphyego, nie mogącego się zdobyć na zerwanie z życiem, które uważał za podłe, dał Mieczysław Serwiński. Ciekawym w masce i geście obleśnym Godden był Zdzisław Karczewski. Doskonały epizod astmatycznego Kesslera stworzył Jerzy Bukowski. — Całość spektaklu bardzo wyrównana. Dekoracje Jędrzejewskiego skomplikowane trudno tłumaczącymi się szczegółami, poza tym przyjemne dla oka.

Wojciech Dzieduszycki

„Harry Smith odkrywa Amerykę" K. Simonowa w Państwowym Teatrze Dolnośląskim. Reż. M. Godlewski. Na zdjęciu J. Kurnakowicz i A. Chronicki

Chwalimy Ziemię Lubuską

za jej start kulturalny

W okresie narzekania, przeważnie zresztą słusznego, na słabą intensywność życia kulturalno-artystycznego na Ziemiach Odzyskanych, miłą niespodzianką i satysfakcją jest możność zetknięcia się z konsekwentnym, świadomym wysiłkiem artystycznym, tym bardziej w ośrodkach mniej aktywnych i dynamicznych.

Ziemia Lubuska, najbardziej może dotychczas zapoznawana w „odkrywczych" podróżach na Ziemie Odzyskane, po okresie intensywnej odbudowy gospodarczej niemniej silnie zaczyna pulsować życiem kulturalnym. Teatr Ziemi Lubuskiej w Gorzowie zdradza ambicje coraz dalszego podnoszenia swego poziomu, a mimo istniejących jeszcze niedociągnięć odnosi niewątpliwy sukces nawet na scenie poznańskiej wystawianym tam ostatnio gościnnie „Rozdrożem miłości" J. Zawieyskiego. Głośnym echem przed kilku miesiącami odbiła się w kraju I wystawa artystów-plastyków Ziemi Lubuskiej w Gorzowie. Jedyne w swoim rodzaju efekty pracy kulturalno-oświatowej o charakterze masowym osiąga niezmiernie gdzie indziej sieć Domów Społecznych.

Obecnie, gdy jeszcze niedawno w jednym z tygodników literackich spotkaliśmy mocno opóźnioną wzmiankę o Wystawie w Gorzowie, oglądać możemy, tym razem w Zielonej Górze, II Wystawę Artystów-Plastyków Ziemi Lubuskiej. Już sama cyfra około 140 reprezentowanych prac z zakresu rzeźby, malarstwa i grafiki, jak też 22 nazwiska artystów, świadczą nader pozytywnie o ambicjach i rozległości zainteresowań artystycznych plastyków Ziemi Lubuskiej.

Przechodząc do pobieżnego przeglądu reprezentowanych prac trzeba rozpocząć uwagą narzucającą się przy zwiedzaniu wystawy, że dobór dzieł był raczej dość przypadkowy, nie poprzedzony gruntowniejszą selekcją. Poziom jest bardzo nierówny. Zarzut tej różnorodności o tyle mógłby upaść, o ile w założeniu organizatorów istniała chęć pokazania całego dorobku Ziemi Lubuskiej i dopiero z tak szeroko pomyślanego przeglądu wytypowania nazwisk i utworów odpowiadających wymaganemu poziomowi.

Niewątpliwie najlepsze są prace MUELDNERA - NIECKOWSKIEGO WIESŁAWA z czego wyróżniają się szczególnie pejzaże olejne. „Zaułek Zielonogórski I" i „Zaułek Zielonogórski II" utrzymane w łagodnym i pełnym melancholijnego spokoju tonie; znać tu wpływy impresjonizmu. Żywszy w kolorze jest „Fragment z Zielonej Góry" pastel; dobry, mocny w wyrazie, w śmiałym ruchu sylwetki olej p.t. „Dziecko i Arlekin choinkowy". Tegoż Müldnera akwarele — słabsze — znać, że nie jest to właściwy artyście rodzaj twórczy. Natomiast dwa fragmenty pomników, wykonane w gipsie, świadczyć mogą o większych zdolnościach w tym kierunku. Niezaprzeczenie jednak obraz olejny jest właściwą domeną tego rzeczywiście hojnie wyposażonego w talent i zaawansowanego w technice pracy — artysty.

Ciekawe i wdzięczne, acz może nieco za ostre w konturach są tempera TROFIMOWA WŁODZIMIERZA. Do najlepszych jego prac zaliczyć można „Motyw zakopiański" oraz wykonaną już pastelą „Złotą jesień". Dobry w technice, ale niestety mało ciekawy w motywie jest pejzaż „Nad Odrą". Trofimow ma doskonałe wyczucie natury. Powinien jedynie pozbyć się pewnej, jak to określiliśmy, aż przesadnej, fotograficznej po prostu wierności szczegółów. Uwypuklenie ich, wysunięcie bezwiedne na plan pierwszy zaciera ogólny wyraz pejzażu.

Rozmach kompozycji i dobre opanowanie techniki portretowej wykazuje MIERZEJEWSKI STANISŁAW, operujący sangwiną i węglem.

PIOTROWSKI ZYGMUNT wystawia trzy prace węglem, ciemne w tonie, lecz wyraziste, pełne ekspresji, rzutowane śmiało. Są to: „Cela", „Tartak", „Sypialnia". Żałować należy, że artysta ten nie wystawił większej ilości prac, umożliwiających głębszą analizę jego ciekawej techniki.

Uczynił to MAJEWSKI JULIUSZ, dający możność przeglądu około 35 rysunków ołówkiem lub kredką. Dzielą się one na „fantastyczne" i „realistyczne" fantazje architektoniczne. Ostre, odważne niezwykle w konturach, oryginalne w pomyśle mimo że często brak im wykończenia, budzą podziw nad dynamiką wewnętrzną artysty. Te same cechy spotykamy też w mniej już licznych kompozycjach tego typu, co „Taniec na strunach", „Partyzanci", „Ostatnia melodia". Technika Majewskiego warta jest głębszego zastanowienia.

Z ogólnego tła wyróżniają się jeszcze prace FENIUKA ROMANA, szczególnie olej „Szkic portretowy p W i K" oraz akwarela „Opary nad jeziorem". Ciekawe też są oleje Kononowicza Romualda.. Na poziomie utrzymane są „Motywy I i II z Gorzowa" SZUMANA ZIEMOWITA. Jego martwa natura natomiast nieco mdła.

Z rzeźby do najlepszych zaliczyłbym prace SOKOŁOWSKIEJ WANDY. Najlepsze: „Dziewczyna zza Bugu" i „Słowa" kompozycja. Oryginalną w pomyśle jest też kompozycja w gipsie HOFMANA BOGDANA — „Odbudowa".

Kilka prac, i to już błąd organizatorów, umieszczonych zostało w wąskim przedpokoju. Jedyne na wystawie tego rozmiaru, kilkometrowe olejе WILCZYŃSKIEJ ZOFII, niezwykle barwne w kolorycie, ale trudne do uchwycenia w wyrazie. Nie przeceniając ich wartości, stwierdzić trzeba, że umieszczenie ich w warunkach, umożliwiających widzowi oddalenie od obrazu nie dalej niż na metr, wyrządza krzywdę artystce.

Na zakończenie trzeba jeszcze zwrócić uwagę na dwie szczególne prace HRYNIEWICZ HALINY, przyciągające uwagę. Są to symboliczne personifikacje „Krzyku" i „Milczenia", z tych pierwsza znacznie lepsza i mocniejsza w wyrazie.

Resumując, stwierdzić wypada, że Ziemia Lubuska posiada spory zespół talentów artystycznych! Po części są to już wykształceni, samodzielni plastycy, po części wymagający jeszcze długich lat nauki.

EUGENIUSZ PAUKSZTA

Maria Dąbrowska we Wrocławiu

Maria Dąbrowska we Wrocławiu. Wrocław stał się drugim po Warszawie miastem znakomitej pisarki, tu najchętniej przebywa, tu zresztą powstały jej pierwsze powojenne utwory literackie

Irracjonalizm-Faszyzm-Komunizm
Postępowi Chrześcijanie

Paryż, w czerwcu 1948 r.

„W odpowiedzi na Twój list donoszę Ci, że dziś niedziela i że wracam przed chwilą z kościoła... Do kościoła lubię chodzić. Jest to dla mnie nie mniejsza przyjemność — jak przeczytanie pięknej poezji lub nastrój, który opanowuje przy muzyce. Są to rzeczy irracjonalne, które (obok rozumu) mają swe miejsce w życiu człowieka. Kłócę się nieraz z moimi przyjaciółmi komunistami o to, że nie należy irracjonalizmu tępić i że nieprawda, aby irracjonalizm prowadził do faszyzmu.

Niemniej faszyzm, mający swe bardzo racjonalistyczne podłoże, opanował i podporządkował sobie irracjonalizm i okazał się w tym zręczniejszy od marxistowskich dialektyków. Demaskując faszystowskie oszustwo, należy nie tykać irracjonalizmu i zostawić go jego własnemu rozwojowi.

Godzę się z komunistami w tym, że życie ekonomiczne musi być na całym świecie planifikowane (inaczej dochodzi do katastrof, wojen, kryzysów itd.), ale życie kulturalne nie może być jednolite, wyłącznie materialistyczne, musi istnieć: szukanie, problematyka i różnorodność tłumaczeń — i żadna szkoła, żadna dyscyplina nie zdoła powstrzymać tego niespokojnego fermentu w psychice ludzkiej, który jest bezcennym zarodkiem kulturalnego postępu i bez którego materializm zapadłby też w stagnację, w jakiej tkwią religie mas.

Bardzo lubię swych przyjaciół komunistów. Bywam w domu, gdzie trafiają się ważne osobistości z Komitetu Centralnego i nie boję się ich tak, jak — Polaków. Tu panuje wielka braterskość, nie ma polskiej pompy i pozy — i swobodnie ze wszystkimi mówię z obustronną [sądzę] korzyścią. Chociaż swej postawy nie zmieniają, bo — przy dyscyplinie partyjnej — muszą się stosować do dyrektyw z góry, niemniej dobrze, aby osłuchali się z sądem odmiennym od tego, do którego są między sobą przyzwyczajeni, dobrze — tym bardziej, że przecież wiedzą, że jestem „swój człowiek", nie reakcjonistka.

...Nawiązałam kontakt z „Union des Chrétiens Progressistes" i już zostałam wciągnięta do współpracy w piśmie, które wydają.

Z organizacją tą współpracuje niejeden duchowny: protestanccy pastorzy oraz kilku księży i zakonników katolickich.. To nie tylko „ozdoba", to są [ci duchowni] bardzo szczerze związani z organizacją, aktywni jej członkowie.

...Atmosfera w organizacji bardzo przyjemna i wydaje mi się, że w tych ramach będę mogła coś z siebie dać — i że wyjdę z tego sparaliżowania, które mnie tyle lat gnębiło w społeczeństwie, do którego byłam niedostosowana.

Z przewodniczącym i innymi członkami organizacji umówiłam się, że pójdziemy do moich przyjaciół komunistów, tych, o których pisałam, że się z nimi „kłócę".

Przyjemnie, że jestem jednym z tych ogniw pomiędzy komunistami a chrześcijanami postępowymi.

Prawdopodobnie będą zebrania, na które komuniści zaproszą chrześcijan, a potem chrześcijanie komunistów...

Nie chcę przesądzać sprawy, może wyłonią się jakieś nieznane mi jeszcze trudności, a jestem — jak wiesz — raczej pesymistą, a w każdym razie sceptykiem. Toteż — z zachowaniem wszelkich ostrożności — mówię: wydaje mi się, że tutaj zarzucę kotwicę..."

Krystyna Wryczan

Autorka listu, którego urywek [dzięki uprzejmości Adresata] podajemy, jest jedną z tych „szukających"., dobrze nam znanych. Dla tych „szukających" Francja — jak widzimy — ma więcej możliwości, niż Polska.

Czyż nie należało by stworzyć u nas ośrodków dla tych „szukających"? Oczywiście mamy na myśli ośrodki po wielkich miastach, wojewódzkich, uniwersyteckich.

Urywek powyższy jest bardzo symptomatyczny. Warto mu poświęcić sporo uwagi.

Stanie się niewątpliwie zaczynem niejednej poważnej *refleksji*, może i *dyskusji*.

BIBLIOTEKA ROMANSÓW i POWIEŚCI

TEODOR TOMASZ JEŻ
1
NARZECZONA HARAMBASZY
str 62 / zł 50

CZESŁAW J. CENTKIEWICZ
2
WŚRÓD LODÓW PÓŁNOCY
str 62 / zł 50

GUY DE MAUPASSANT
3
BARYŁECZKA I INNE OPOWIADANIA
str 62 / zł 50

BENEDYKT DĄBROWSKI
4
114-STA START!
str 63 / zł 50

WACŁAW SIEROSZEWSKI
5
BOKSER·KULISI DNO NĘDZY
str 63 / zł 50

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI
6
PAMIĘTNIK MROCZKA
str 64 / zł 50

Krótkie spięcia

Śnieżny temat

Warto kiedyś napisać monografię kiczu, a w tej monografii podkreślić jego niesłychaną wprost długowieczność. Pomyślmy sobie tylko: Najlepsze utwory poetyckie powieściowe, dramatyczne, czy inne choćby nie wiedzieć jak nastrojowe, dowcipne, i inteligentne przemijają z wiatrem, a rzecz kiczowata trwa niemal tak długo, jak legendarna już wprawdzie dzisiaj Anna Csillag.

Weźmy pod uwagę choćby taką piosenkę, z okresu jak to się mówi międzywojennego. Ileż to uczciwych i naprawdę dobrych utworów tego rodzaju znikło jak sen jaki złoty, a do dzisiaj trwa i egzystuje ciągle tylko kicz...

Oczywiście przykładów można by wyliczyć całą kopę, ale wystarczy tylko jeden. Słynny, a właściwie osławiony — „Śnieg".

Narodził się ten cały „Śnieg" gdzieś przed trzydziestu laty, ale po dziś dzień jest śpiewany, nucony i grany, jakby się narodził dopiero wczoraj. A trudno doprawdy znaleźć bardziej potworny kicz od niego.

Jest tam kiczowate wszystko. Począwszy od tych „dźwięczących sanek janczarów", „puchowego śniegu trenu", i „jadącego panicza bogatego, i nucącego wesołą pieśń" aż po „dziewczynę wtem do sań podbiegającą".

Ta dziewczyna jest szczytem wszystkiego. Bo niby jest zima, mróz, śnieg i tak dalej — a tu dziewczyna, do której „łachmanów brzega przywarły śnieżne skry" sprzedaje — bez. Zastanówmy się tylko: Bez w zimie, przecież to majątek! Skąd dziewczyna w łachmanach mogła się na taki bez zdobyć? Jeśli go sprzedawała, to musiała zarabiać kupę pieniędzy i dawno by nie musiała chodzić w łachmanach! Żeby sprzedawała zapałki, albo papierosy, to jeszcze pół biedy — ale bez, najdroższy kwiat w okresie zimowym!

Rzecz prosta, poeta od siedmiu boleści, który skomponował ten bez, uważał, że to będzie bardzo „poetycznie" i że lepiej się nada do całości utworu. Rzeczywiście dalsze dzieje panicza bogatego i dziewczyny w łachmanach aż nadto usprawiedliwiają ów kiczowaty chwyt. Całe bowiem perypetie erotyczne zacnej pary, które wynikają z tego, że „pan wziął bzu zmarznięty kwiat a potem rzekł: siadaj przy mnie" są równie straszliwe nieprawdopodobne, co i sprzedaż bzu na ulicy w zimie.

Zwłaszcza, że dziewczyna po wszystkim „niby pies wygnany szlochając poszła w świat", a przed tym nie wybiła ani jednej szyby paniczowi.

Wszystko zresztą jedno. Skąd to się bierze, że mimo wojny, kataklizmów i Bóg wie czego, „Śnieg" jest ustawicznie na tapecie zarówno pod strzechą jak i pod dachem miejskiej kamienicy...?

Widocznie musi się podobać, i koniec. Innego przecież wytłumaczenia nie ma.

Co więc zrobić, aby się nie podobał...?

Trzeba po prostu „Śnieg" ludziom dostatecznie obrzydzić. Zarządzić jego przymusowe śpiewanie i granie przez cały miesiąc. Wtedy wszystkich jego nawet najzagorzalszych amatorów do reszty diabli wezmą.

Zwalczywszy zaś „Śnieg" trzeba będzie zastosować tę samą metodę i do innych kiczów piosenkowych czy niepiosenkowych, i w ten sposób ziarnko do ziarnka może uda się nam wyplenić całą plagę.

NIEJAKI X

Brzuch z brązu

(Dokończenie ze strony 2)

myśli sercem i głową. Charakter (znak) „myśleć" składa się w piśmie chińskim z obrazów „głowa" i „serce". Chińczyk uważa brzuch (wnętrzności) za siedzibę uczoności. Mówi np. brzuch pełen ksiąg klasycznych = uczony. Literat niedouczony posiada „brzuch żelazny" lub „brzuch z brązu". Ideogram chiński zwraca się do całej duchowej odbiorczości człowieka. Aby odczytać wyrazy (ideogramy) chińskie w ich właściwym znaczeniu, zwłaszcza w liryce, a więc aby czytać lirykę prawdziwie filologicznie, muszę umieć niejako przetwarzać się psychicznie. My czytając wytwory języka naszego, niestety posługujemy się prawie zawsze rozumem. Nowe europejskie wychowanie rozwija „zasadniczo tylko jedną część natury ludzkiej — mianowicie rozum." Aby rozumieć pismo chińskie, trzeba mieć w równym stopniu rozwinięte „wszystkie dary natury, a więc serce, głowę, duszę, rozum". (Tak Ku Hung Ming, Dusza chińskiego narodu i wyjście z wojny.) Lin Ju Tang pisze w „My country and my people", str. 231: „Jestem skłonny wierzyć, że my w równym stopniu myślimy brzuchem jak głową. Im bardziej emocjonalny jest sposób myślenia, tym bardziej odpowiedzialne są wnętrzności za każdą myśl. Chińczycy umieją pisać dobre poezje, ponieważ myślą swymi wnętrznościami." Więcej niż w naszych językach musimy czytać pomiędzy linijkami. Ale musimy się przy tym wystrzegać, aby tę treść międzywierszową i międzyobrazową unaoczniać i wyprowadzać, jak to często czynią nieobeznani z chińszczyzną poeci wtórni (parafrazujący), choćby te warjacje zdawały się brzmieć pięknie. Są to przeważnie własne poezje na temat chińskiego motywu. Naturalnie tylko bardzo niewiele wierszy można niestety w naszych europejskich językach oddać z tej całej nieobjętej pełni chińskiej liryki. Wiele historycznych, geograficznych, kulturalnych, literackich skojarzeń i przygrywek, cytatów, archaizmów, gry słów, rzadkich ideogramów stanowi najszczerszą radość dla chińskiego uczonego, przekład atoli musiałby dla naszego rozumienia zostać opatrzony komentarzami. Muszę rozumem i sercem wyczuwać zmienne asocjacje sym bolów i w samych tych znakach (obrazach) odczytać obraz życia. (Fonetyczna strona znaków jest drugorzędna a dla tłumaczenia zupełnie zbędna). Jak wyżej zaznaczono, muszę umieć niejako przetwarzać się psychicznie, aby odczuć obrazy i zreprodukować je w naszym języku na podstawie związku (kontekstu) z sąsiednimi znakami. Kto nie umie sensu zamkniętego w ideogramach za każdym razem na nowo wyczuć i przelać ich w (fonetyczny) ekwiwalent obcego języka, temu zamknięty jest wstęp do istoty chińskiego języka obrazowego (mimo ew. opanowanego praktycznego paplania w tym języku).

Jan Wypler.

Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Martynowa 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, ul. Młyńska 9, Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik". Złożono i odbito w drukarni nr 9 Sp. Wyd. „Czytelnik", Katowice, 3 Maja 12. Tel. 309-73, wewn. 08.

R 18171

Satyra niemiecka

— Mein Herr, przekroczył pan nie tylko granicę strefową, ale nawet granicę wszelkiej przyzwoitości. Rys. J. Hegenbarth